Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 9. Maja 1880 r. **Tom X.**

TYGODNIK POLSKI

Nr. 19.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

DWIE DROGI.

II.

Obawiamy się, aby nas fałszywie zrozumieć nie zechciano.

W ostatnim wstępnym artykule, broniliśmy tezy wypowiedzianej w silnych słowach posła Skrzyńskiego, że „Polska albo będzie liberalną, albo jej nie będzie.“ Otóż pod słowo „liberalizm“ tak wstrętne nieraz u nas podsuwają rzeczy, że uważamy za konieczne bliżej się nad tem zastanowić.

W tej chwili w ogóle panuje tak wielkie zamieszanie nazw i pojęć, że np. t. z. „liberalni“ są często najgorszymi despotami a „postępowcy“ idą ręka w rękę z reakcją. Mamy tego dobitny przykład, na „liberałach-narodowych“ niemieckich i ich partji „postępowej“. Gdy np. w parlamencie niemieckim chodzi o cośkolwiek, co z polskością ma do czynienia, to właśnie wtedy ze strony tych panów jak największych niesprawiedliwości i gwałtów, przyzwyczailiśmy się doświadczać. Wtedy to ich sztandary postępowe i liberalne wykazują się jako łachmanki świecące, podnoszone tylko na to aby pod ich osłoną czysto egoistycznym celom narodowym zadość uczynić z pogwałceniem wszelkich, istotnych zasad liberalnych.

Jak dawniej poznaliśmy dobrze krzyżacką nabożność i dewocję, tak dziś ich liberalizm, wyrównywający tamtym poznajemy i na sobie doświadczamy. Fałsz i obłuda, dziedzicznie się na ich obecnie żyjące pokolenia przeniosły.

O liberałach rosyjskich nie ma co nawet wspominać. Ironia tkwi już w zestawieniu „liberału“ z przymiotnikiem „rosyjski“. Mieliśmy na sobie i mamy ciągle dowody ich działalności, bo ich najwybitniejsi reprezentanci wysyłani byli do naszej ziemi, aby tam rozsiewać barbarzyńskie gwałty.

Biorąc rzeczy ogólniej, jeśli się postawimy na uboczu i przyjrzymy się temu, jak ludzie dzierżący losy Europy w ręku, do których władza należy, bo silni są fizycznie, jak ci ludzie fałszują historję i, licząc na brak inteligencji tłumów, używają haseł postępowych i liberalnych podsuwając pod nie pojęcia takie, jakie im rzewnie się podoba, to nasuwa się nam wtedy na myśl podobieństwo tego stanu rzeczy do akcji operetkowej i illustrowanej muzycznie przez Offenbacha. I tu i tam „bogowie“ figle płatają, i tańczą kankana, ludzie drwią z siebie samych. Kalchas kpi z zasad, które wygłasza, bohaterowie grają „w gęsi“. Zginęła tam wiara w posłannictwo, gmach sztucznie zbudowany trzęsie się w posadach, od dołu podnoszą się siły nieznane, szczerze życzenia swe wypowiadające a tak groźne, że całą moc wytężać potrzeba, aby im prędko nie uledz. I w tej walce więc używa się fałszu, aby obałamucić tłumy i wywiesza się kłamliwe hasła, do których „liberalizm“ najczęściej bywa używanym.

O tej parodji liberalizmu, nie mogło być mowy, gdyśmy podnieśli, że przyszłość nasza zależy od tego czy liberalni będziemy, czy też pójdziemy na usługi wstecznikom, i dla tego też zastrzegliśmy się przeciw fałszywemu zrozumieniu.

Liberalizm praktyczny, rozumiemy w takiem znaczeniu:

Szkoła nie powinna być rozsadnikiem przekonań religijnych i politycznych; powinna tylko dawać młodzieńcowi ogólne wykształcenie, nie rozbudzając jego namiętności w żadnym kierunku. Szkoła musi być w całem znaczeniu tego słowa świecką. Nie należy wpajać w młode umysły jednostronnych poglądów, jeno przygotowywać je do tego, aby krytycznie mogły potem osądzić same, w jakim kierunku iść powinny.

Swoboda badań i swoboda nauki w ogóle, czy to w kierunku filozoficznym, czy też społecznym, jest jedną z najpierwszych rzeczy, które zdobyć sobie powinniśmy. W tym względzie najsmutniej się u nas stosunki przedstawiają. Nie masz kraju nad nasz, gdzieby bardziej zawzięcie opierano się nowym teorjom społecznym, poglądom filozoficznym a nawet pomysłom artystycznym. Doszło to do takich rozmiarów, że ucznia gimnazjalnego, który wiedziony ciekawością czytał dzieła Darwina, ze szkół wydalano a powagi pedagogiczne potwierdzały ten barbarzyński wyrok, zwolenników zaś nowych poglądów filozoficznych, opartych na doświadczeniu, okrzykiwano odstępcami myśli narodowej. Jesteś pozytywistą, więc nie jesteś Polakiem, jesteś socjalistą, więc także nie jesteś Polakiem i t. d., póki nie zeszło się na to, że patrjotyzm i miłość kraju, dozwolone były tylko tym, którzy na to osobny patent otrzymali.

Chwilowo jednak najdonioślejsze znaczenie ma liberalizm polityczny. Należy nam szukać aliantów nie w szeregach tych, którzy ustąpić z pola będą musieli, ale tam, gdzie siła i zdrowie moralne. Doświadczenie gorzkie nauczyło nas, że dość już owego ciągłego liczenia na sympatyzujące czułostkowo z nami dwory, dyplomacją i to wszystko co z tem ma związek. Zdobywać winniśmy sobie przyjaźń ludów a nie jednostek. Sprzymierzać się z uciśnionym, uciemiężonym niewolnikiem, jeśli ma słuszność po swojej stronie, bo prędzej czy później ta słuszność zwyciężyć musi. Stawać w szeregach walczących za swobodą bez względu na to, czy nam natychmiastowa, bezpośrednia korzyść ztąd wyniknie, jeśli tylko pewni będziemy, że tym sposobem przyczynimy się do postępu ludzkości. To się tyczy spraw zewnętrznych. A wewnątrz kraju pielęgnować i rozszerzać instytucje takie, które jasno sztandar postępu wywieszają, walczyć z reakcją i zacofaniem, choćby ubranemi w najpiękniejsze patrjotyczne szaty, całe siły wytężać na to, aby zdążyć razem z innymi, dobijającemi się do tego samego celu co my, do wolności.

Jeśli w tym kierunku nie pójdziemy, to przyszłości dla nas nie ma. Wierzymy w to tak głęboko, jak wierzy matematyk w ścisłość rezultatu, który otrzymuje z obliczenia najzwyklejszego równania.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jacek jeszcze konia w stajni doglądał czy można było mu siodło zdjąć, gdy już ciekawy Koniuszy zjawił się w progu.

— A co! jużeś to z powrotem? chwała Bogu! Prędzej przyjechałeś niżeś obiecywał. Gdzieżeś bywał? Dobrze ci się działo? hę?

Jacek go witał nie wesołą twarzą.

— Dziękuję panu Koniuszemu, wróciłem rychło, bom nic nie zrobił.

— O! to mi cię żal.

Rad się był coś więcej dowiedzieć Drobisz, ale Jacek zagadał o bułanym jak to on chodzi, jakiego ma kłusa, że się nie potyka i t. p. Stary popatrzał nań i zamilkł.

— Było po co jeździć, kiedy wróciłeś z nosem na kwintę! — odezwał się po chwili. — A no, chodź na wieczerzę, albo nie, to do panny Rejentównej!

— Dziś już chyba nie, bom zmęczony — rzekł Jacek, byle co przegryzę i położę się.

Gdy nazajutrz pokazał się Jacek w kancelarji, powitanie było szyderskie jakieś. Nie zważając na to siadł do roboty.

Prawdę, rzekłszy zazdroszczono mu. Wszyscy powiadali. Co w tym Jacku tak osobliwego, że mu się szczęści, Łowczanka za nim przepada, jak mówią, a Rejentówna także go ciągnie. Goły jak święty turecki, bez familji, nie wiedzieć zkąd jest, rozumu osobliwego nie ma, a żeby miał być przystojniejszy od drugich, to także nie! zkąd te łaski?

— A no! chłop zdrów — mówili drudzy, a kobiety ciamajdów lubią, pokorne ciele!...

I pokręcali wąsa ichmość, ale patrzali koso...

Wieczorem namyśliwszy się, poszedł Zadorski do panieńskiego pokoju, stanął, jak należało, przy krześle panny Rejentównej i dworował. Była tego dnia w takim humorze, że reszta młodzieży mogła bezkarnie się gzić z pannami, ona nie mówiła nic, tak ją chłopiec zajmował. Co do Jacka, po tym wcale nie widać było, ażeby wielki afekt miał do Rejentównej, odbył przy niej pańszczyznę i drapnął.

Na dworach trzeba się wysługiwać jak można, żeby nie mieć nieprzyjaciół.

Koniuszy mu pochwalił to.

— Masz rozum — rzekł cicho — czy myślisz co czy nie, panna ci potrzebna, bo u księżnej ona wszystko wszystkiem!

Jacek nic nie odpowiedział — uśmiechnął się tylko.

Stary Drobisz przypatrywał mu się i śledził go jak zagadkę. Widywał mocno zamyślonym, namarszczonym i jakby z sobą walczącym. Dorozumiewał się, że chłopiec albo w sercu lub na sercu coś mieć musiał. Gniewało go to, że się przed nim taił. Aby nie spłoszyć, nie dopytywał zbytecznie—wielki był znawca ludzkiej natury.

Drugiego czy trzeciego dnia nad wieczór, Drobisz swoim zwyczajem sznurkując czy go gdzie nie znajdzie, zajrzał do kancelarji, poszedł do stajni, na ostatek do panieńskiego pokoju. Nie było go nigdzie. Pokiwał głową! Oho!

Na sercu mu leżało dowiedzieć się co się z nim stało. Jeszcze raz do stajni zajrzał.

— Bułanego nie było.

— Przysięgam Bogu — dmuchnął do Łowczanki — zamruczał pod nosem.

Zgadł stary, bo Jacek skorzystał z tego, że w kancelarji mu tego dnia mniej dano roboty, i do Wólki pojechał.

Wahał się z tem długo, raz ledwie nie zawrócił z drogi, ale pokusa przemogła — zaciął konia i ruszył na prost.

Wieczór jesienny był, ale ciepły i piękny. Od Wólki ku Kodniowi szła grobla staremi wierzbami wysadzana, cienista, której minąć nie było sposobu, bo do koła ją moczary i rowy otaczały. W końcu jej stał krzyż postawiony przez Łowczynę z napisem:

Pod Twoją opiekę, uciekamy się.

Ledwie go pominął Jacek, gdy na grobli białą sukienkę zobaczył, serce mu uderzyło. Nim poznał domyślił się w niej Łowczanki. Szła wolnym krokiem ręce na piersiach założywszy, właśnie jakby na spotkanie.

Zsiadł zaraz z bułanego.

Panna się troszynę zarumieniła.

— To szczęśliwy traf! — odezwał się Jacek do ręki pocałowania przystępując.

— Nibyś pan nie wiedział, że ja codzień wieczorem, póki tylko można, do krzyża na spacer chodzę! — rzekła panna.

— Pewnym tego nie byłem!

— To złą pamięć masz pan, bom ja mu to mówiła.

Tedy sobie w oczy popatrzali, a Łowczanka dobrze mu się uśmiechnęła.

— Zawróćmyż się do domu — rzekła — abyś z ojcem w warcaby zagrał i rozweselił go, bo dziś ziewa strasznie, a jak ziewa to i klnie.

Zaczęli iść razem, obok siebie, a Jacek z tyłu konia prowadził, który z drzew liście osmykał po drodze.

— Co tam u państwa słychać — mówiła panna — nie wyszła za mąż Rejentówna?

— Nie, dotąd o swatach żadnych nie wiadomo.

— A nam tu z Kodnia doniesiono, jakoby pan Jacek się jej bardzo akomoduje.

— Kto! ja? — I rozśmiał się z całej duszy. — Juściż w Kodniu — mówił dalej — pannie Rejentównie się kłaniać musi każdy, a no od tego do swatania się i konkurów daleko. Mnie też to nie w głowie.

Panna się jakoś ostro ofuknęła.

— Znasz mnie waszmość — rzekła — że u mnie co w myśli to na języku. Młody człowiek przecie powinien o małżeństwie myśleć, bo każdy na tem kończy, a czem prędzej to lepiej.

— Któż temu przeczy, panno Łowczanko — odparł Jacek — ale nie wszystkich równo Pan Bóg rozdzielił. Kto nie ma domu ani łomu — jakże mu o żonce myśleć!

— Znaleźć sobie przecie może taką co dom będzie miała! — dodała panna.

— Taka za niego nie pójdzie — odezwał się Jacek — a choćby się i odważyła, smutne to życie dla męża gdy nie przyniósłszy nic na łasce żyć musi.

I westchnął.

— Bałamuctwo! — rezolutnie zawołała panna. — Jak się ludzie kochają, nie zważają na to co moje co twoje... Pycha to nie potrzebna koniecznie się z majątkiem chwalić.

Szedł Zadorski z głową spuszczoną, nie mówił nic.

A tu już nie było więcej nad dziesięć minut drogi do dworu, panna kroku zwalniała, jakby chciała czegoś doczekać co nie przychodziło, aż ją niecierpliwość brała.

Myślała, myślała, ustami poruszała, koniec chusteczki gryzła — potem nagle stanąwszy naprzeciw Jacka ozwie się:

— Będzie panu ojciec rad, bo go bardzo lubi.

— Nie zasłużyłem... — rzekł pokornie Zadorski.

— A i matka moja za nim przepada, jak mi Bóg miły — dodała śmiejąc się Basia — masz pan szczęście do wszystkich u nas w domu.

Jacek nie zważając że pastuszkowie szli nieopodal, pannę za rękę wziął i co miał raz pocałować, jak się należało, całował, całował, końca temu nie było.

—A!—zawołał żywo nie opamiętawszy się — gdybym miał skarby świata, gdybym był czem nie jestem, gdyby... padł bym do nóg pannie Barbarze i rodzicom...

— A czemuż bez skarbów tego nie próbować — odezwała się panna wesoło. — Przecieżeś nie ślepy że ja mu dobrze życzę, rodzice też, na skarby żadne zważać nie będą, im potrzeba jak mnie poczciwego człowieka.

Znowu tedy do rączki Zadorski, krew mu na twarz wystąpiła.

— Już choćby życie dać za pannę Barbarę! — krzyknął.

Tu rękę mu ścisnąwszy szepnęła.

— Naprzód no z matusią pogadajcie; nie bójcie się jej, ja w tem. Uprzedzę ją. Ino nie dziś jeszcze, ale za przyszłą razą. Ojciec choćby i czuprynę potarł, my jego zmożemy...

Rozśmiała się i już tylko w oczy sobie patrzali, bo dochodzili do ganku, a tu siedział Łowczy sam, nogę na nogę założywszy, zadumany że ich nie widział.

Wtem z tyłu zatętniało i mężczyzna na koniu tęgim, dużym ale chudym, w rzemienny rząd przybranym, przygnał za niemi. Młody człek był, chudy, ręce i nogi miał długie, głowisko duże, twarz nie miłą, a że pod ten czas czegoś musiał być bardzo kwaśny, jechał tak wykrzywiony, jak mówią pospolicie — ze środy na piątek; z jednego postu na drugi.

Spojrzał z ukosa na idącą parę, konia osadził, skoczył i pokłoniwszy się pannie, która mu ledwie głową kiwnęła, szerokie-

mi krokami posunął się przechylając a rękami machając, do ganku.

Łowczy rozbudzony stał i patrzał.

— Jak się masz panie Ksawery! — rzekł, a tuż dodał — no — a ot i moje warcaby! przecież pan Jacek łaskaw na sąsiada.

Kusem przywitaniem zbyty, ów pan Ksawery, (był to Wysocki wiekuisty od lat sześciu panny konkurent) — padł na ławę krzywiąc się jeszcze mocniej niż w początku.

Panna Barbara pominąwszy go i ani nań spojrzawszy, poszła do matki, a Łowczy począł wołać. Jest tam kto? Jest tam który? aby piwa podawano i warcabnicę do izby stołowej, bo tam ich chciał prowadzić.

Ksawery zagaił jak tam owies wydaje; czy zboża dobrze poschodziły.

— Owies tego roku jak poślad u mnie, a i runią się nie pochwalę — rzekł Łowczy, choć ona się jeszcze poprawi, byle trochę ciepło potrzymało.

Po tej krótkiej przemowie, gdy warcabnicę przyniesiono i piwo, Łowczy natychmiast siadł z panem Jackiem grać, a Wysockiego z piwem zostawił sam na sam, ani się już o niego troszcząc. Temu to nie w smak szło, więc choć warcabów nie cierpiał, pochylił się nad nie i patrzał. Zerkał tylko niekiedy czy panna się nie pokaże, ale tej ani słychu nie było.

Raz po razu wygrał dwie partje Łowczy i to go w humor dobry wprawiło. Godzina wieczerzy się zbliżała, podano wódkę... Znów tedy Wysocki zagaił o gospodarstwie i otrzymał kusą odprawę.

Łowczy mu nie chybiał, ale ani nań patrzał, ciągle się do Jacka odzywał.

Na wieczerzę dopiero wyszły kobiety, Łowczynę przywitali przybyli, zaczęto siadać, manewrował Wysocki aby koło panny być, aż tu Łowczy mu miejsce wskazał.

— Siadaj asindziej koło Jejmości.

Miejsce, nie można powiedzieć było honorowe, a no wolałby Wysocki niżej siąść a koło Basi, przy której się znalazł Jacek; a ta zaraz się do niego śmiać i szeptać zaczęła, ani patrząc na Wysockiego.

Rozmawiał on z Łowczyną, a co spojrzał na tę parę, to mu na twarz krew występowała i czyniła ją brunatną. Oczy mu krwią zachodziły. Zrazami o mało się nie udusił i kaszą obwarzaną.

Wkrótce po wieczerzy, gdy jeszcze pan Jacek chwilę, jakby na przekorę Wysockiemu, z panną w oknie stał i cicho rozmawiał, wziął za czapkę i żegnać się począł.

P. Jacek też w ślady jego poszedł tak, że razem na konie siedli, i milcząco do wrót jechali. Grobli minąć nie było można, a obu tędy droga prowadziła. Nie chcąc się w gawędę wdawać, Zadorski konia ściągnął i chciał przyzostać. Wysocki też swojego trzymał. Chciał Jacek go wyprzedzić, począł i ten kłusa, tak że ramię w ramię jechać musieli.

Tylko coraz Ksawery na jadącego patrzał a wąsa pokręcał i chrząkał.

Zdawał się go wyzywać — ale Jacek nie słuchał.

Dobili się tak do Krzyża, a tu już myślał Jacek, doskonale drogi znając, minąwszy groblę, uskoczyć w bok i towarzysza się pozbyć. Czuł, że będzie szukał zaczepki.

Wtem ledwie się przeżegnali pod figurą, Wysocki chrząknął jeszcze mocniej niż wprzódy i odezwał się:

— Za pozwoleniem.

— A co tam?

— Trzeba byśmy się rozmówili.

— Jak trzeba? czemu nie! cóż to tam jest? — spytał Zadorski.

— Jakbyś to asindziej nie wiedział, podnosząc głos — rzekł Wysocki. Sroki o tem na płocie gadają, że ja się o pannę Barbarę staram, nie od wczora, sześć lat temu minęło na N. Pannę Zielną, kiedym ją upodobał i poprzysiągłem, że moją musi być. Kto mi w drogę wlazi, nie przepuszczę.

Trochę pomilczawszy, odezwał się Jacek:

— Ino się nie gorącuj pan, proszę. Mówmy jak należy. Pierwsza rzecz, jeszcze to niewiadomo czy ja panu w drogę włażę!

— E! bratku — zaśpiewał Wysocki. Komu wiadomo komu nie wiadomo, a ja to dobrze wiem... Otoż...

— Za pozwoleniem — przerwał Jacek. Druga rzecz w tem, jak pana nie zechce panna Barbara, to dla tego do klasztoru ma iść?!

— Ja się nie pytam chce czy nie, musi moją być! — wrzasnął Wysocki. — Niechaj się wypłacze z razu, ja w tem że szczęśliwą będzie.

— A jak serca nie ma?

— Z sercem to ja tam sobie rady dam — to moja sprawa — zawołał Wysocki. Ja to tylko powiadam asindziejowi żebyś mi w drogę nie wchodził, bo co innych spotkało to go czeka.

Jacek żeby drgnął.

— Wola Boża — rzekł — mnie, gdybym co na myśli miał, od panny nie odpędzić strachem jak wróblę z prosa!

Wysocki z koniem na niego natarł.

— To się bij, psia wiaro!

— To się będziemy bili, rozbójniku jakiś — krzyknął Jacek — ale nie jak hajdamaki po nocy na gościńcu, ale jak się należy, przy druhach...

Jakoś Wysocki, choć mu ślina z ust bryzgała, pomiarkował się i zawołał:

— Tu nie ma co długo gadać; naznacz miejsce, wyrąbać się musimy.

— A no, jutro, i to rano — rzekł Jacek spokojnie — na Borsuczych jamach...

To powiedziawszy, ani zważając już na Wysockiego, konia sparł i puścił się w swą drogę.

Co tam myślał jadąc, jednemu Bogu wiadomo, bo i szczęście wiózł i biedę z sobą.

We dworze już cicho było, gdy do Kodnia przyjechał, ale na górce u Koniuszego świeciło się. Konia oddawszy, wprost poszedł do niego.

Stary miał taki zwyczaj, bo mu uklęczeć było trudno, iż pacierze chodzący odmawiał, a tylko w partykularnych miejscach przyklękał trochę, właśnie koronkę odmawiał, gdy Jacek nadszedł, a czekać musiał aż ją skończy i w piersi się bić zacznie.

— Jak się masz? — zapytał stary — a co! w Wólce zdrowi?

— Zdrowi, chwała Bogu.

— Masz ty co do mnie?

Jacek go w ramię pocałował.

— Na rękę mnie wyzwał ten Haraburda Ksawery, bo mu się zda, że ja mu do panny przeszkadzam. Jutro rano na Borsuczych jamach.

Koniuszy pomyślał.

— Chcesz bym był z tobą? — spytał.

— Proszę jak o łaskę.

— Ja nie wiem jak ty się bijesz? hę?

— Niezgorzej, wola Boża — rzekł Jacek — pokresuje mnie, aby nie po twarzy, bo ja do mężatek się nie umizgam, a takich tylko na licu znaczą.

Koniuszy ramionami ruszył.

— Pokaż szablę — rzekł.

Poszli do świecy; przygiął ją o podłogę raz, drugi stary, machnął i skrzywił się.

— To rzezak, a nie szabla... chyba ci inną dam.

— Do tamtej ręka niezwykła — odezwał się Jacek. — Szabla choćby najlepsza, jak koń trzeba się z nią znać.

— I to racja! Jak ci ona do garści, wola twa. Nie ma tu co długo gadać; jutro razem wyjedziemy rano, a co pan Bóg zgotował, niech się dzieje wola Jego. Tylko, ja ci powiadam, z takim rzezakiem jabym się nie ważył.

Zadorski ręką machnął.

Do dnia biały mrozik niespodzianie wystąpił, ale słonko świeciło wesoło, gdy na Borsucze jamy przybyli.

Był to pagórek piasczysty, do koła z rzadka drzewa, a borsuczych jam od dawna ni śladu, tylko o nich podanie.

Prawie razem nadjechali z zasapanym Wysockim, z którym jechał szwagier jego Łączewski. Gadania nie było dużo.

— Na szable?

— Na szable.

Zakasali poły, długonogi Wysocki osadził się na swych widłach mocno, Koniuszy dał znak i ścięli się.

Miał Wysocki za sobą długie ręce, wzrost nieco większy, a i djabła za skórą, gdy Jacek zimno szedł, jakby do śniadania, ale wywijał się bardzo zręcznie. Kilka razy szable zabrzęczały, wtem Zadorski uderzył swoją Wysockiego w pięść i szabla mu z garści wyleciała.

W tejże samej chwili, nim się tamten opamiętał, Jacek przyskoczył, chwycił go w pół i niesłychana rzecz, podniósł go od ziemi tyle, ile było potrzeba, aby równowagę stracił i obalił go jak kłodę, sam nań lecąc i tuż kolanami na piersi nacisnąwszy, za gardło go dusić zaczął.

Wysockiemu i tchu zabrakło i twarz krwią nabiegła. Przyjaciele głowy potracili, Łączewski nie uśpiał w pomoc, gdy pan Ksawery już chrypiał, jakby dogorywał.

— Puść go! — krzyknął szwagier.

— Nie puszczę, bo jest w mej mocy — zawrzeszczał już rozpalony Jacek — nie

puszczę a zaduszę, jeśli nie da słowa, że panny oprymować nie będzie.

Wywijał się z pod Zadorskiego Wysocki, ale rady dać nie mógł; popuścił mu nieco Jacek, powtarzając:

— Słowo daj!

Ksawery ostatkiem głosu — co miał czynić — odparł:

— Daję! daję!

Zadorski wnet puścił a odskoczył, a Łączewski przypadł podnieść i ratować, bo się słaniał i ledwie dyszał.

— Takiego pojedynku jak świat światem nikt nie słyszał — krzyczał szwagier.

Koniuszy też milczał, Jacek ani zważał. Wytrąconą szablę podniósłszy Łączewski, gdy się z piasku otrzepali, poprowadził Wysockiego do koni.

Na tem koniec się stał i słowo było dane, ale to czuli wszyscy, że koniec być nie może walce, co się tak nieprawidłowo rozwiązała.

— Nie ma co mówić, gracko się spisałeś — rzekł Koniuszy — siła i zręczność djabla, a no, synku, jakoś to nie po naszemu... On tego despektu ci nie daruje. Fraszka kogo płatnąć, ale na piersi mu siąść i gardło tak zdusić — to tyle co policzek znaczy. Więc to sobie pamiętaj — na tem nie koniec.

— To niech będzie początek! — odparł pot ocierając Jacek.

Nie wiadomo zkąd się wzięło dodać staremu.

— Między nami mówiąc, borykać się tak, to nie szlachecka a chłopska rzecz...

Zczerwieniał się okrutnie Zadorski i ramionami ruszył tylko.

— Będzie szukał zwady, jak sobie chce — dodał namyśliwszy się — ale na to słowo dał, że panny oprymować nie będzie...

Umówili się potem ze starym, że o pojedynku całym milczeć będą i ani pisną, pewni, że ani Wysocki ani Łączewski się nim chwalić nie będą. A że często tak razem w pola i lasy jeździli z Koniuszym, gdy nazad powrócili, nikt się tak dalece niczego nie domyślał.

Cicho było. Kilka dni wytrzymawszy Zadorski wieczorem znowu do Wólki się wyprosił. Choć panna mówiła mu, że do Krzyża co dzień chadzała wieczorem, tego dnia jej nie było. Łowczy z ekonomem przybyłym z drugiego folwarku, konferował, a w ganku, jakby sam Pan Bóg zrządził, zaszła mu drogę Łowczyna.

Weszli z nią do izby gościnnej. Po pierwszem przywitaniu, Jacek, niedługo czekając, bo się przybycia Łowczego obawiał, do kolan się uniżył.

— Pani Łowczyno dobrodziejko — rzekł pokornie — choć niegodny waszej łaski, do niej się uciekam. Wiem to dobrze, iż mi aspirować do ręki panny Barbary nie godziłoby się, ale ją kocham wielce. Ratujże mnie w tej opresji.

I gdy ją po rękach całował, Łowczyna prędko wstawać kazała.

— Śmierć i żona, przeznaczona — rzekła — taić nie mam co, iż wiem, jako Basia asindziejowi sprzyja. Mój stary może będzie trochę grymasił, ale go powoli uchodziemy. Bądźże dobrej myśli.

Zaraz tedy posadziwszy Jacka przy sobie, poczęła matka pytać go o procedencją, jak, zkąd, co?

Tu, jeśli nie kłamać trzeba było, przynajmniej prawdę obchodzić, aby jej nie tknąć. Przyznał się szczerze i otwarcie Zadorski, iż jak palec sierotą był, nie wiele o sobie wiedział, na łasce ludzi się wychował.

Wzdychała Łowczyna, widać było jednak z mowy jej, że co do szlachectwa ani o niem powątpiewała, bo naówczas trudno było przypuścić nawet, ażeby niezaszczycony klejnotem, mógł się poważyć o szlachciankę.

Nierychło Łowczy zbywszy się ekonoma, przyszedł kwaśny, bo mu ten coś złego przywiózł. Nawet w warcaby już grać nie chciał, do żony się zbliżył i przed nią swe żale rozwodził.

Wyszła i panna Barbara, która umiała zręcznie kawalera na bok odprowadzić.

— Mówiliście z matką? — zapytała.

— A jakże! — kazała mi być dobrej myśli.

Wtem przerwała żywo:

— A z tym poganinem Wysockim, coś zrobił? Z oczów mu patrzało, że przyczepki szukać będzie, jakby do mnie jakie prawo miał, a ja, gdybym do siwego włosa rutkę siać miała, gdyby on na świecie jeden był a ja druga, nie wzięłabym go.

— Niechże panna Barbara będzie spokojna — rzekł śmiejąc się Jacek — bo mi słowo dał, że panny oprymować nie będzie.

— A toż jakim się cudem stało! — zapytała panna.

— Nic, tylkom go tak mocno prosił o to — rzekł śmiejąc się Jacek — iż w końcu mi przyrzekł.

— A no, żarty! — zawołała Basia.

— Klnę się na poczciwość moją, prawda.

— Lecz jakże może być, aby ten zawadjaka się dał przekonać i uprosić?

— Dosyć że tak jest jak mówię — zamknął Jacek.

Panna popatrzała nań długo, potem go obeszła do koła.

— Nie jesteś waćpan ranny? — zapytała.

— Anim był, ani jestem.

— Aleś się waćpan bił z nim? mów — rzekła nakazująco.

— Coś tam nakształt tego było — odparł naciśnięty Zadorski — ale wszystko przeszło szczęśliwie.

Radośnie zaświeciły oczy pannie Barbarze.

— Bóg widzi — rzekła pocichu — poczynam wierzyć, że to już przeznaczenie nasze, jeżeli i Wysocki ustąpił. To dla mnie znak, iż w tem wola Boża jest.

Krótko zabawiwszy pojechał Jacek do domu, kilka dni zostawując Łowczynie, aby mu starego przygotowała.

Koniuszy go badał, ale jeszcze mu się nie zwierzył, czekał aż się sprawa wyklaruje. (C. d. n.)

Ottona Hausnera

BROSZURA

„Deutschthum und Deutsches Reich"

(Ciąg dalszy.)

A więc po przyjacielsko-sąsiedzkiem popieraniu zaczepnej, świadomej celu, zwycięzkiej Rosji, nastąpiło niedowierzanie, nieprzyjaźń i odporne przymierze przeciw wycieńczonej, rozstrojonej, w posadach od dynamitowych wystrzałów wahającej się Rosji. To jest faktyczny stosunek niemieckiego państwa do jego wschodniego sąsiada.

To sprzeczne wystąpienie Niemiec, da się tłumaczyć w dwojaki sposób.

Albo jest to intymidowanie dawniejszego sprzymierzeńca, któremu już według ich mniemania, dostatecznie za to zapłacono, a nie zapomniano jeszcze o jego nieprzychylnej postawie z r. 1875. Osłabienie i konwulsje wewnętrzne tego sprzymierzeńca zręcznie się wyzyskuje, aby potem potulnego i na drugi plan zepchniętego zmusić do wznowienia trójcesarskiego przymierza.

Albo rzecz jest bardziej serjo i ma się rozpocząć trzeci akt owego wielkiego, czteroaktowego dramatu ujarzmienia Europy, którego plan, według zdania dobrze poinformowanych, dojrzał już w mózgu wielkiego męża stanu z nad Sprei, a z którego widzieliśmy już duńską introdukcję, jako też akt pierwszy — austrjacki i drugi — francuski. Trzeci akt — rosyjski, przyłączyłby „napowrót" do Niemiec nadbałtyckie prowincje a granica Knesebecka przez Wisłę oznaczona, usunęłaby przykry klin między Prusami Wschodnimi a Szlązkiem, poczem, po anneksji Hollandji i Danji, z potrojoną flotą wojenną dobrać się by można było i do Albionu w 4. akcie i wtedy „the battle of Dorking" stało by się rzeczywistością.

Może być to uważane, jako fantastyczna hypoteza, której jednak wiele z jej nieprawdopodobieństwa odbiera nieubłagana logika polityki zdobywczej, uwieńczonej powodzeniami.

Jeżeli się tym dwom hipotezom przypatrzymy ze stanowiska austrjackiego i polskiego, co w tej sprawie prawie na jedno wychodzi, to nie przedstawią się te przypuszczenia wcale pocieszająco.

W pierwszym, prawdopodobniejszym wypadku, po dostatecznem skraszeniu Rosji, przystosowanoby trójcesarski związek do wypadków lat ostatnich, podniesionoby go na nowo, z ostrzem wymierzonem ku Zachodowi i Południowi, postępowanoby dalej w kierunku napięcia sił militarnych i jego skutków, uzbrojonoby się w solidarność co do reakcji w kierunku politycznym, społecznym i ekonomicznym, z dwuletnimi budżetami, kagańcowym porządkiem, wyjątkowemi prawami przeciw socjalistom w pierwszym i postępowcom w drugim rzędzie, z systemem prohibicyjnym i cłami ochronnemi, przymusem cechowym, uregulowaniem taryfy transportowej i taksami procentowemi. Czy wtedy swobodny rozwój rozmaitych narodowości, dalsze istnienie autonomji pojedyńczych krajów w państwie mogłoby być zabezpieczonem, kto byłby owym trzecim w związku z dwoma monarchiami ściśle zcentralizowanemi i przymusowo jednojęzycznemi, czy nie byłoby zarzucenie tych kierunków w przyszłości tak samo koniecznem, jak niedawno zaniechanie corocznego wotowania rekrutów, to

są pytania, na które trudno byłoby, aby ktokolwiek odpowiedział wprost przecząco.

Niejeden znaczący symptomat z dni ostatnich wskazuje, iż wstąpienie Rosji do sojuszu niemiecko-austryackiego, jest może tylko już kwestją czasu. Czego też nie nabajano o mniemanych staraniach Francji w porozumieniu się z Rosją i jak szybko hałaśliwe wiadomości o sojuszu francusko-rosyjskim tak natarczywie roznoszone, zostały rozwiane godnem i niezależnem zachowaniem się Francji republikańskiej w sprawie Hartmanna. Lecz i ten wypadek nie zniechęcił zacietrzewionych wielbicieli haseł z Berlina rozgłaszanych.

„Niewydanie Hartmana usuwa obawę przymierza francusko-rosyjskiego a to wzmacnia związek austro-niemiecki“ pisze z godną pozazdroszczenia swobodą dziennik wyżej cytowany. A więc obawa francusko-rosyjskiego przymierza czyniła koniecznym sojusz austro - niemiecki, a usunięcie tej obawy przyczynia się do jego wzmocnienia? Jak niepoprawnemu pijakowi wódka wydaje się rozgrzewającą w zimie a chłodzącą w lecie, tak też tym fanatykom austro-niemieckiego przymierza wydaje się, iż ono jest potrzebnem i pożytecznem dla dwóch wręcz przeciwnych sytuacji i gdyby los zagnał do Austrji jakiego pruskiego Hartmana, to najzagorzalsze „liberały“ nie odważyłyby się zaryzykować tego przymierza „do wszystkiego“, zastosowując ustawę z 27 października 1862 co do prawa przytułku. Nie każdemu bowiem jest danem, stać przy obronie praw ludzkich nawet z poświęceniem korzyści politycznych, jak to uczynił *der sittlich entartete wälsche Erbfeind.*

Naruszenie kurtuazji, przypominające Menszykowskie tradycje, które towarzyszyło inscenowaniu wyjazdu Orłowa z Paryża, i głęboko wzruszająca dziękczynna epistoła cara do Berlina skierowana, są przepowiedniami, iż przymierze tak potrzebne *przeciw Rosji* będzie nie długo uzupełnionem przez *tąż samą Rosję.* Aby jednak nigdy Austrji nie brakło strachu przed oczyma i ciągłego niebezpieczeństwa, aby się chętniej poddawała warunkom przymierza niemieckiego, Włochy, zaraz po pokojowej mowie Cairolego, zostały napadnięte przez *Nord. Allg. Zeit.* i zadenuncjowane, że czekają tylko na zwycięztwo partji liberalnej w Anglji aby wyjść w pole. Rzadko bardzo się zdarzało aby bezczelniejsze, bezpodstawniejsze insynuacje i oskarzenia, rzucano w świat drogą publicystyczną, i gdybym parę tygodni później podniósł polityczne znaczenie kolei arletańskiej, toby wmawiano mi, iż jestem na usługach u *Italji irridenty.* Tak mniej więcej przedstawia się, najbardziej prawdopodobne, tłómaczenie ostatnich stosunków niemieckiego państwa do Rosji. Tłómaczenie to pozwala sceptycznie zapatrywać się na błogie skutki związku austro-niemieckiego Austrjakowi, i Polakowi należącemu do Austrji, bez wykazywania przez to jakichkolwiek sympatji dla Rosji.

Przypuśćmy teraz inny wypadek rzeczy, mniej prawdopodobny, mianowicie że nieprzyjaźń Niemiec względem Rosji jest prawdziwą, trwałą, nieprzejednaną, albo, że Rosja mimo swego wewnętrznego rozkładowego procesu nie da się intymidować, i że przyjdzie do wojny przeciw temu mocarstwu, a Austrja będzie brać w niej udział po stronie niemieckiej. Niezliczone mnóstwo tych, którzy traktują sprawy polityczne tylko powierzchownie i nie mogą sięgnąć do ich głębi zawoła tu do mnie: Przecież tym sposobem spełnionem będzie marzenie Polaków, ba, nawet się odpowie bezpośrednim wskazówkom polskich mowców we wspólnych delegacjach, że Rosji łatwiej dać radę na północnowschodniej widowni, niż na półwyspie bałkańskim a więc spełni się serdeczne życzenie Polaków.

Na to bez wahania, z ręką na sercu powiedzieć można, iż wojna przeciw Rosji wychodząca z takiej inicjatywy, prowadzona w takiej kombinacji i z takiemi nieuniknionemi skutkami, dokonałaby rzeczy nie do uwierzenia, to jest, dopełniłaby miary nędzy naszej.

Nie za nas rozpoczęta, przeprowadzona wśród rozlewu krwi naszych synów, walczących przeciw sobie, na naszej ziemi zniszczonej, pomiędzy naszemi spalonemi miastami i to w tym celu, aby krew i ciało nasze oddać niewłasnowolnie jako nagrodę dla zwycięzcy, wojna taka sprowadziłaby czwarty rozbiór Polski, niemniej fatalny. Bo, że na papierze imponujące, ale w rzeczy samej słabe rosyjskie siły rozbite by były od pierwszego natarcia żelaznych wojsk niemieckich, to nie ulega wątpliwości. A że potem, myśl kanclerza, jeszcze z r. 1863, streszczająca się w żądaniu powrotu stanu z lat 1795 — 1806. t. j. przyłączenie części kraju razem z Warszawą, aż po Wisłę, urzeczywistniłoby się, to leży w granicach najściślejszego prawdopodobieństwa.

Że taka ewentualność byłaby najstraszniejszym, jaki tylko rozdarty i uciemiężony naród spotkać może ciosem, to czuję instynktownie każdy Polak, nie-Polakowi jednak można to tylko z pewną trudnością wytłumaczyć, bo pozornie wszystko przeciw temu przemawia.

Samowolne i bezwzględne rządy Rosjan w Polsce, systematyczne z ich strony trzebienie — od roku 1863 — wszelkich wolnościowych, autonomicznych i narodowych instytucji, znane jest każdemu, a przez nas było podnoszone przy każdej okoliczności przed Europą w setkach korespondencji, not, memorjałów, protestów i historycznych rozpraw. Dlaczegóż, więc — można tu postawić pytanie — uważać potrzeba jako cios fatalny tę zmianę władców, którąby dała Prusy, wprawdzie germanizujące, biurokratycznie regulujace, lecz mimo to konstytucyjne i legalne, na miejsce barbarzyńskiego, rosyjskiego absolutyzmu? Dlaczego? Bo nas uczy filozofja historji, oparta na 2000-letniem doświadczeniu, że barbarzyński, nierozwinięty, na niskim stopniu kultury stojący naród nie zdoła zmódz narodu bardziej cywilizowanego, od wieków instytucjami swemi bardziej rozwiniętego, nawet mimo wszelkich gwałtów, jak tego nie potrafili Turcy w Grecji, a nawet nieraz sami bywają wessani jak germańscy barbarzyńcy, we Francji, Włochach, Hiszpanji i Portugalji. Takie panowanie barbarzyńców może nałożyć nieskończone cierpienia krociom tysięcy indywiduów, całym szeregom pokoleń, osobistą nędzę może podnieść do najwyższej potęgi, lecz przeciw całości, przeciw duchowi narodu ostatecznie mało uczynić zdoła. Wprawdzie bardzo boleśnem i wzruszającem jest widzieć, jak niezliczone rodziny za udział w powstaniach, albo tylko za opozycyjne zachowanie się wysyłane bywają w oddalone okolice Rosji, a ich dobra konfiskowane i Rosjanom oddawane. Lecz kiedy się widzi, że syn rosyjskiego najezdcy mówi już po polsku, że nadzorca lub zarządca rosyjski, jako mniej zdolny lub mniej uczciwy ustąpić musi przed polskim lub się spolonizować, to można ubolewać nad losem nieszczęśliwym ugodzonych rodzin, lecz nie nad losami narodu. Że ten rodzaj pojmowania rzeczy nie jest bezzasadnym, że jego prawdziwość może być cyframi dowiedzioną, to widać z następującego: Ostatni spis ludności miasta Warszawy z r. 1879 wykazał, że gdy w r. 1815 było tam tylko 108000 mieszkańców, to w 1879. było ich 336,000, a pomiędzy nimi tylko 8,300 prawosławnych. Wynik ten poucza, iż gwałtem wynarodawiające panowanie cudzoziemców, które nie potrafi zatamować tak olbrzymiego rozwoju stolicy ujarzmionego kraju (ludność się potroiła w 65 latach) i które przez dwie generacje zdołało wprowadzić tylko $^1/_{42}$ część swego elementu do liczby mieszkańców, że to panowanie, mimo złych zamiarów i jeszcze gorszych środków, ostatecznie jednak może być uważanem jako bezsilne i takie, które niedorosło do swego zadania. Jakby też to wyglądało teraz w Warszawie, gdyby tych 65 lat minęło pod panowaniem pruskiem, innemi środkami kolonizującem i z zupełnie innym skutkiem rozkład sprowadzającem. Zamiast ośmiotysięcznej garstki rosyjskiej, składającej się przeważnie z przelotnych urzędników, byłaby tam może teraz w murach miasta stotysięczna ludność napływowa niemiecka, ściągana rozmaitemi sposobami i uprzywilejowana, niszcząca z całym zapałem i zręcznością wszystkie właściwości, zwyczaje i tradycje miejscowe, a która już przedtem wniosła do miasta rozdwojenie, niesnaski, czyniące poznańskie stosunki, tak smutnymi.

Lecz dlaczego, można dalej zapytać, na wypadek wojny austroniemieckiej przeciw Rosji, uwieńczonej powodzeniem, przyjmować mamy ewentualność odstąpienia części Polski Niemcom a nie przypuszczać cessji dla Austrji? Tak — dlaczego?

— — — — — — —

— — — — — — —

Między Fellatahami w Afryce środkowej utrzymuje się przez tradycją, według opowiadania Edwarda Vogla, pouczająca bajka takiej treści: „Pewnego razu poszli: lew, hyena i wilk razem na polowanie i zabili antylopę. Wtedy rzekł lew do hyeny: „ty podziel nasz łup“. Hyena podzieliła antylopę na trzy równe części, dla każdego z polujących po jednej, poczem lew ją rozdarł i wezwał wilka, aby się tym łupem podzielił. Ten rzekł: „pierwsza trzecia część antylopy należy do ciebie, prawo do drugiej części zdobyłeś sobie przez śmierć hyeny, a trzecia należy do ciebie, jako do najmądrzejszego, najodważniejszego i najmocniejszego“. „Kto ciebie nauczył dzielić tak znakomicie? — zapytał lew z uśmiechem. „Ta hyena mię nauczyła“ — odpowiedział wilk“. Tak opowiadają sobie Fellatahowie. I to, co dla tych murzynów modlących się do fetyszów, niosących z ludzi ofiary i używających pasków bawełnianych jako pieniędzy jest przykładem ostrzegającym, ma być dla chrześciańskiego, złotą rentę wydającego państwa korzystnym zaczepno-sojuszowym programem? Mianowicie, gdy temu państwu pomiędzy 1864 a 1866 zdarzyło się coś podobnego do owego losu hyeny?

Gdyby więc już ludziom o dowierzającem usposobieniu wojna niemiecko-austrjacka przeciw Rosji wydawała się prawdopodobną, to najrozczochrańsza fantazja nie zdołałaby sobie wyobrazić, że po zwycięztwie, część Polski znajdująca się pod rosyjskiem berłem, oddaną by była Austrji, na której rządy dążące do równouprawnienia tak krzywo się patrzą.

To, co dla nas w takim, powtarzam że

nieprawdopodobnym wypadku by się dostało, to już nam wskazano wtedy, gdy dawano przychylną wskazówkę naszego rozwoju w przyszłości w kierunku wschodnio-południowym, i gdy traktat berliński zaczął urzeczywistniać tę wskazówkę. Przecież między Bośnią a Egejskiem morzem żyje jeszcze dwa miliony Albańczyków, Macedo-Wołochów i Greków, któreto spokojne, bogate i łącznie cywilizowane narody, tak doskonaleby się nadawały do podniesienia naszej siły naukowej, obronnej, żywiącej, według twierdzenia naszego sprzymierzeńca. (C. d. n.)

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

(Ciąg dalszy.)

Król nowo wybrany, a który odtąd przez cały ciąg panowania swego pisał się zawsze najwyższym władcą Litwy, z wszelkiem prawem oczekiwać mógł, że młodszy brat jego, W. ks. Litwy, Aleksander, zjedzie do Polski, by mu złożyć hołd i życzenia swoje, lub co najmniej, wyśle w tym przedmiocie uroczyste poselstwo.

Wielkiem też musiało być jego rozczarowanie, gdy go z Wilna dochodzi list, nie od brata, ale od nadwornego krajczego litewskiego, Mikołaja Mikołajewicza w zastępstwie tegoż pisasany, w którym on tytułowany li królem polskim, a nie i władcą litewskim. Po zwykłem pozdrowieniu i życzeniach, dla starszego brata i miłościwego swego Pana, przypomina poseł, że już za czasów króla Kazimierza, oba państwa Korona i Litwa były sobie w każdej potrzebie radą i pomocą. Aby i nadal ten związek utrzymać, donosi W. ks. przez posła swojego, że car Perekopu Mendli-girej wyruszył ze stolicy swojej z wielką zbrojną siłą i posiłkami tureckiego cara, ale niewiedzieć jeszcze w jaką obróci się stronę. Jeżeli na ziemie litewskie, W. książę ufa, że król mu pomocą przeciw pogaństwu będzie, jak nawzajem on tak postąpi, w razie gdy poganin najedzie koronne kraje. Zakończa Pan krajczy pismo swoje gorzkiemi i w obec pozdrowienia i życzeń z okazji objęcia tronu, wcale niestosownemi wymówkami, że obywatele ziemscy z Wołynia i Podlasia, skarżą się na nieustające szkody, grabieże, wciskania się w ich granice, które im wyrządzają sąsiedni obywatele koronni. Wnosi więc zjazd zemian z obu krajów, na którym by słusznym zażaleniom zadość uczyniono i sprawiedliwość wyrządzoną była według umów za Kaźmierza króla zawartych i które stały się prawem [52]).

Jakaż to ogromna różnica między ową zimną i prawie lekceważącą majestat królewski, odezwą krajczego litewskiego, a uroczystemi edyktami króla Jagiełły, wcielającemi bezwarunkowo Litwę do Korony. Jakiż rozbrat tu się objawia. Ale cóżby dumny Jan Olbracht na to powiedział, że o tym samym czasie, w którym mu brat takie pozdrowienie przesyłał, tenże nie każe słudze swemu pisać, ale sam W. k. Moskwy donosi o zgonie ojca, wyniesieniu swem na W. ks., przytem dość łagodnie przekłada mu swoje zażalenia za doznane daleko dolegliwsze krzywdy, niż te, które doznawali ziemianie Wołyńscy i Podlascy od sąsiadów w Koronie [53]).

Ale młody król nie zważał z początku na ten stosunek, naprężony z bratem i Litwą. Omamiony uroczystemi poselstwami, które dwa przeciwne sobie obozy Rzeczpospolita Wenecka i sułtan turecki do Krakowa z powodu wstąpienia jego na tron wysłało, omamiony ogromem królestw i ziem obszaru, które natenczas od brzegów morza Adrjatyckiego, przez Dalmację, Illyryk, Węgry, Czechy, Polskę, Litwę, aż do Smoleńska czyli krańców (jak się jeden historyk wyraża) państwa Aleksandra Wgo berłu Gedyminowiczów podlegały, marzył tylko o zgnieceniu muzułmańskiej potęgi, pomście śmierci Warneńczyka, przytem o zaborze Mołdawji i posadzeniu tamże młodszego brata swego Zygmunta [54]). W tym celu sprasza on króla Władysława, kardynała Fryderyka i Zygmunta, braci, tudzież Fryderyka Brandeburskiego na kongres w Lewoczy na Węgrzech, w kwietniu r. 1494 odbyć się mający. Kongres odbył się, ale spełzł na niczem, bo najmożniejszy z uczestników, Władysław, król Czech i Węgier, ani udziału wziąć w zamierzonej wyprawie, ani pomocy udzielić chciał [55]). Król natenczas pomyślał o bracie Aleksandrze bliższym od innych wszystkich sąsiadem Turków i Mołdawji i wysłał do niego poselstwo które po długich rozprawach nakoniec dopięło swojego celu. W. ks. Aleksander ciśniony jak nigdy ze strony W. ks. Moskwy, który pomimo że niebawem miał stać się jego teściem, odrywał od Litwy gród po grodzie i kniazia po kniaziu, począł miarkować że nie dobrze być mu samym, stracić może bowiem co jeszcze posiada. Ujął go już sobie uprzednio Jan Olbracht. O tym samym czasie bowiem Tatarzy napadli Wołyń, natenczas litewski, a król natychmiast wojsko przeciw nim wysłał. [56]). Krok bardzo polityczny, bo świadczył, że będąc najwyższym władcą Litwy, sprawa owa także go obchodziła. Przyjął więc Aleksander z tych powodów udział w zamierzonej królewskiej wyprawie, i obiecał stawić posiłki ile ich brat zażąda [57]).

Umówili się przytem bracia, że na sejm wspólny obu narodów, zjadą się w Parczowie co też nastąpiło w r. 1496. Złowrogie to miejsce Parczów, gdzie prawie pół wieku temu, zjechali się także posłowie polscy i litewscy. Ale Litwini z placu zbiegli, z obawy by bracia koronni w pień ich nie wycięli [58]). Teraz zaś zjazd spokojniejszy wziął obrót. Starli się po długiem rozstaniu jak prawdopodobnie jedna kronika twierdzi, panowie radni obu narodów, bo tu szła sprawa o Wołyń, Podole i Podlasie. [59]) Ale bracia Jagiellonczyki umówili tajemnie plan wyprawy, która, jak głoszono, miała iść na Turka, ale właściwie wymierzoną była podstępnie na Stefana, wojewodę Mołdawji. Aleksander wyruszyć miał z Bracławia nad Bohem na niego, król przez Ruś Czerwoną na Suczawę.

Szczegóły tej nieszczęsnej wyprawy w czerwcu r. 1497 rozpoczętej, i którą zakończyła klęska tak zwana bukowińska, nie należą do niniejszej rozprawy. Tu tylko, mając na względzie dalsze wypadki, wspomnieć musimy, że jeden W. ks. Aleksander wyszedł z niej z honorem.

Według umowy stanął on na czele rycerstwa swojego nad Bohem. Gdy zaś miano przejść rzekę i wkroczyć do Mołdawji, jeden oddział wojska widząc że nie na Turka go prowadzą, zbuntował się i dalszego pochodu odmówił. Na to W. ks. by bratu zawodu nie zrobić, pozostałych mu wiernych wysłał pod Suczawę, dając im za przewodników Marszałka Lidy Stanisława Petrowicza i kniazia Możajska Szemiaczyca. Ci w drodze spotkawszy się nad Dniestrem z Wołochami, zadali im klęskę i bez dalszej przeszkody dostali się do opuszczonego w Suczawie króla i odprowadzili go do Kamieńca [60]). Usługa owa poświęcenia pełna oddana w sprawie mu obcej i którą W.ks. nie pochwalał, nie mogła nie zjednać mu serca Polaków, którzy ściśle związki z Litwą, jakie istniały za czasów Władysława Jagiełły i W. ks. Witolda i Zygmunta, cenić umieli i z niechęcią znosili ich zerwanie. Wszakże już przy elekcji Jana Olbrachta wiele głosów odzywało się za W. ks. Aleksandrem mając na względzie, że połączenie obu narodów pod jednem berłem pomnoży siły obrony krajowej, a poda ważność ustalenia organizmu państwa na trwałej posadzie [61]). Król Jan Olbracht dzielny w utarczkach z Tatarami i Wołochami a szalonej odwagi we wojnie bratobójczej z królem Węgier Władysławem, ale który wstąpiwszy na tron, objawił obok wielkich zamysłów równie wielką nieudatność, gdy zaczął je urzeczywistniać, teraz po doznanej porażce musiał się obrachować, że utracił nietylko zwierzchność ale wpływ na Mołdawię, że ma na węgierskim tronie nie sprzymierzeńca, ale utajonego wroga, że zraził swem postępowaniem wiernego hołdownika W. Mistrza

---

52) »Które uchwały i zapisy na poprzednich sejmach stały się prawem, mówi list.« O tej ważnej uchwale nic się nie wie dotąd. (ob. akty zapadnoj Rossji, dok. 104, r. 1492, str. 122/3).

53) Akty zapadnoj Rossji, t. I., r. 1492, dok. 105.

54) Wapowski o nim mówi w kronice swojej: że był olbrzymiego ducha i jak urodzonym do wielkich przedsięwzięć, postawą i majestatem przewyższał on braci swoich i dniem i nocą nad tem dumał, aby wiekopomnemi czynami wsławił się na wieki. Na innem miejscu wychwala spryt i rozsądek jego (prudentiae et ingenii singularis), wykształcenie umysłowe i zamiłowanic w książkach.

55) Miechowita mówi: »irritatis et omnibus articulis fere conclusis rcjectis vacui ad propria recesserunt.« Wapowski dyplomatyzując, sam sobie się sprzeciwia. Mówi, że przymierze między Węgrami a Polską zawartem zostało, a potem na sekretnych konferencjach umówiono wspólną wyprawę na Turcję i Wołochy. A dalej znowu, że prócz przymierza ogółowego między koronami, nie stanęła umowa co do zamierzonej wyprawy, i król Olbracht stracił wszelką nadzieję pomocy od królewskiego brata.

56) Wapowski.

57) Comilicium Alexander cum Lithuanis, Massagetis, at Roxanis quocunque ducere vellet promisit. (Idem.)

58) Syn. Gedymina. Ustęp Korjat, r. 1449 i kron. lit. wyd. Narbutta r. 1497.

59) Kron. kijowska wyd. w Moskwie r. 1836.

60) Kronika lit. ut supra. Wapowski i Miechowita wydanie I-sze. Opis tej, na oko tak dziwnie wyglądającej dziwnej wyprawy, natenczas dopiero będzie mógł być dokonanym, gdy akta do panowania Jana Olbrachta, które dotąd w rękopismie ukrywać się mają w Krakowie, wydane zostaną. Porażka w każdym razie nie musiała być wielką, gdyż królowi udało się przepłoszyć napastników i on został potem kilka dni w Czerniowcach. Że nie była zupełną, przytomności umysłu i tęgości jego zawdzięczyła Polska.

61) Expedit utramque gentem unum habere principem unum moderatorem, qui junctis utriusque populi viribus firmiori rerum suarum stabilimento fulciatur (Wapowski).

Krzyżaków [62]). Tatarzy, mimo nad nimi odniesionego zwycięztwa, kraje jego napadają, a jednym sprzymierzeńcem w niedoli Litwa. Litwa, zaś raczej znakomite pośród niej stronnictwo, dążyło niezaprzeczenie do odrębności całkowitej. Aby ją osiągnąć należało przedewszystkiem być u siebie panią, w granicach, jakiemi ją obdarzyli Gedymin, Olgierd, Kiejstut i Witold.

A tu *Podole* było już polskiem, o *Wołyń* toczyła się bezustanna walka z Koroną, która już *Podlasie* Polakami zaludniła. Na północy kilkanaście ziemstw i grodów odpadły do Moskwy. Inne jak Mścisław już chwiały się. Związek małżeński Aleksandra Jagielończyka z córką W. kn. Moskwy nie zmienił groźnych stosunków tegoż z Litwą. Przeciwnie, pogorszył je, wstąpiła bowiem w szranki sprawa religijna, broń wielce niebezpieczna w 15. i 16. wiekach.

Z zakonami niemieckimi istniało tylko zawieszenie broni. Oba zakony były w obawie o Inflanty, które W. kniaź podbić zamierzał. Nie chcieli więc mnożyć sobie w tych stronach nieprzyjaciół. I Litwie więc nie pozostało nic innego jak tylko zbratać się znowu z Polską, z którą pospołu uprzednio już cały wiek przeżyła i uzyskać tem przemierzem jaką taką podporę.

W obec takiego obopólnego usposobienia umówionym został zjazd dostojników Korony i Litwy. Na tym zjeździe zawiązano konfederację odnowiającą ustawę horodelską z r. 1413. Król dekretem z 10 Maja r. 1499 zatwierdził owo postanowienie zastrzegając sobie przytem swoje i brata swego prawa [63]). Ponieważ zaś ustęp 13. ustawy horodelskiej zawiera przepis jak w razie zgonu natenczas panujących króla Władysława i W. ks. Witolda, wybory ich następców odbyć się mają a o dalszych zajściach milczy, przeto aby wszelką usunąć wątpliwość, rada koronna wydała zaręczenie, że przy każdym zdarzającym się wyborze króla, tenże za poprzedniem uwiadomieniem rady litewskiej i wspólnie z nią odbyć się musi. Oraz wezwała radą litewską, aby wydała podobne zaręczenie. Stało się jej życzeniu zadosyć. Rada litewska, czyli biskupi Wilna, Miednik i Łucka, wojewodowie i kasztelanowie Wilna i Trok, Marszałek Państwa i Marszałek dworu, podczaszy, podkomorzy i Chorąży książęcy, Starosta Żmudzi i dwunastu innych starostów, (lecz ani jeden dygnitarz i starosta z Wołynia, Podola i Ukrainy) na zebraniu z 24. lipca r. 1499 wydali pisemnie oświadczenie, że odtąd W. ks. Litwy wspólnie z radą koronną polską, wybieranym będzie [64]).

Zaledwie przeszły dwa lata, a uzupełniona względnie wyborów króla i W. ks. ustawa horodelska musiała przejść pierwszą próbę. Król Jan Olbracht umarł w Toruniu 17. Czerwca r. 1501 [65]).

Brat jego Fryderyk, Kardynał, Arcybiskup gnieźnieński i oraz biskup krakowski przewodniczący jako prymas radzie koronnej, zwołuje dla wspólnej narady sejmiki partykularne do Krakowa, Korczyna, Koła i bez wątpienia do innych jeszcze miejscowości. Na jednym z tych sejmików bez wątpienia liczniejszym od innych, wniósł Piotr Kmita z Wiśnicza, marszałek Państwa, aby ofiarować koronę polską Władysławowi Jagiellończykowi królowi Czech i Węgier [66]). Że ten wniosek uzyskał wielu zwolenników, nie można o tem wątpić. Począwszy od fundatora dynastji króla Władysława Jagiełło żaden z rodów królewskich nie wyrównał im we wspaniałomyślnej często i bezmyślnej szczodrości w szafowaniu groszem publicznym i prywatnym, oraz łaskami do ich dyspozycji będącemi. Mogła coś o tem, za krótkiego panowania Władysława Warneńczyka powiedzieć Polska, dokąd z Węgier sypały się zapisy po zapisach na rzecz każdego, co posłuch u tronu pozyskać sobie umiał. Gdy więc który z tych książąt występował jako kandydat do swojskiego lub obcego tronu, mógł on z tych powodów liczyć na dopięcie celu lub przynajmnej na licznych adherentów. Świadczą o tem dzieje Czech i Węgier w 15. wieku. Wszakże w r. 1500 ofiarowano tron szwedzki Aleksandrowi W. ks. Litwy [67]). Przedewszystkiem pożądanym był najstarszy z królewiczów Władysław król Czech i Węgier. Mniej od nich uzdolniony, prócz wyżej wymienionych przymiotów czy wad familijnych, mówiło jeszcze i to za nim że własnej woli nie miał i zgadzał się na wszystko, co mu przedstawiano. Z tego powodu otrzymał przydomek: „rex bene.“ [68]) W Polsce zaś ważne względy przemawiały, prawo starszyzny, połączenie trzech monarchij pod jego berłem a w następstwie możność rugowania Turków z Europy, o czem głównie marzył cały 15. wiek.

Sejmik więc zgodził się na wniosek Marszałka i wysłał ze swego łona Piotra Myszkowskiego, wojewodę sieradzkiego i Mikołaja Wróblewskiego, kanonika krakowskiego do Budy, z zaproszeniem by przyjął koronę polską, jako starszy w rodzinie. Władysław łakomy królestw, pomimo że żadnem rządzić nie umiał, znosił się już uprzednio w tym przedmiocie z bratem kardynałem Fryderykiem, zalecając nie Aleksandra, bo jak mówił: *to obcy,* ale Zygmunta o którym wiedział że skromny przez wzgląd na dwóch starszych braci nie przyjmie korony tem mniej, żeby tem ebraził jego, swego dobrodzieja, który niedawno obdarzył go księstwem Głogów i mianował rządcą całego Szlązka [69]). Teraz mieniąc się u kresu swoich życzeń, bo nie zważył że wezwanie wychodziło od partykularnego sejmiku, przystaje nań i natychmiast cesarzowi Niemiec i królowi Francji, przez gońców donosi, że do dwóch królestw, Bóg mu jeszcze trzecie nadarzył [70]). Wiadomo, że zabiegi jego chybiły celu, Opatrzność ochroniła tym razem Polskę od króla niedołęgi, po którym ona nieochybnie wcieloną by została do Węgier, a pierwej jeszcze Litwa z nią się rozstała.

Jak ów wybryk sejmiku partykularnego później źle był widzianym w Polsce, dowodzą gorzkie słowa kronikarza Miechowity, widocznie na żądanie kilku senatorów w drugiem wydaniu jego dzieła umieszczone (nie ma ich bowiem w 1. wydaniu). „Na sejmie, mówi on, uniwersalnym (t. j. koronacyjnym) w Piotrkowie, gdzie według prawa i obyczaju królowie winni być wybierani, a nie na prywatnych sejmikach z czego tylko nieporozumienia i bunty wynikają, jak to miało miejsce, gdy wniosek marszałka Kmity przyjęto, który był spowodował wojnę domową i bratobojczą, do której W. ks. Aleksander był gotów (?) gdyby nie interwencja królowej matki [71]).

Ale pośmiewisko, na które pan o dwóch berłach wystawił się, donosząc przedwcześnie kolegom swym na tronie i do tego pierwszorzędnym mocarzom o wyniesieniu swoim na tron polski, długo jako żądło w sercu jego tkwiło. Pierwsza deputacja, którą w r. 1502 po koronacji Aleksandra wysłał do Polski, wręczyła radzie koronnej energiczny protest przeciw wyborowi tegoż, oraz warujący wszystkie jako Jagiellończykowi przysługujące mu prawa do korony polskiej, własności jego rodu. „Niemasz kogo, mówi, który by tego świadom nie był że, Polska *prawem primogenitury* jako państwo dziedziczne, ojcowskie, (avitum paternum haereditarium) przed wszystkimi innymi jemu się należy. *Panowie węgierscy* przystali już na wieczyste *złączenie obu państw, a po wygaśnięciu linji panującej,* na wspólny wybór nowego pana. Jeżeli zaś król Władysław, uznaje wybór Aleksandra jako fakt dokonany, bo co się stało, odstać się nie może, to sprzeciwia się stanowczo, obecnie dokonanemu zjednoczeniu Litwy z Polską, Litwy, kraju dziedzicznego domu Jagiellonów, owszem obstaje przy tem, aby jemu i młodszemu bratu Zygmuntowi, części odpowiednie z tego księstwa wydzielone zostały [72]). Na te protesta i żądania

---

[62]) Obacz Ksawerego Liske »O cudzoziemcach w Polsce« ustęp: Liberius Naker o wyprawie Jana Olbrachta na Mołdawię i przygody W. Mistrza Krzyżaków Jana Tieffen, według opisu znajdującego się w tomie V. Ser. rer. pruss.

[63]) Joannes Albertus rex Poloniae ratam habet unionem et confederationem procerum regni cum proceribus Lithuaniae absque tamen derogatione juris tam sui quam fratris Alexandri M. D. Lith. (Metryka litewska i Cromera Index arch. Crac.)

Jedyna to wzmianka, która się przechowała o tym ważnym akcie federacji obu narodów z r. 1499 i jej potwierdzeniu przez króla. Volumina legum i inne zbiory milczą o tem, a przecież natenczas było to jedną z ustaw kardynalnych państwa.

[64]) Voluminum legum t. I. str. 281. Zbiór praw litewskich z r. 1841. Inv. regni.

Odpowiednie zaręczenie rady koronnej, na które powyższy dokument powołuje się, snać zaginęło, bo w inwentarzach archiwum koronnego nie ma wzmianki o niem, tem mniej w zbiorach praw. Milczą równie Miechowita i Wapowski, główne co do tej epoki źródła; jeden Kromer krótką ale dokładną o tem podaje wiadomość. Za nim Stryjkowski.

[65]) Miechowita Ie wydanie. W historji Lelewela zapewnie przez omyłkę podano zamiast czerwca — lipiec.

[66]) Wapowski i Miechowita, ten dodaje, że Piotr Kmita na to nalegał »Petro de Wiśnicza instigante«, które słowa wypuszczone zostały w powtórnem wydaniu kroniki Miechowity najpierwszej.

[67]) Gołembiowski, Dzieje Polski za Jagiellonów, t. III. str 433.

[68]) To też żona jego, dowcipna Francuzka, mówiła, że to najszczęśliwszy człowiek na świecie, bo znajduje wszystko dobrem.

[69]) Listy owe, Władysława do brata kardynała, z 26. i 25. lipca r. 1501, znajdują się w archiwum książąt Radziwiłłów w Nieświeżu. Obacz Gołembiowski, Dzieje Jagiellonów t. III. str. 452, noty.

[70]) Miechowita. Wapowski.

[71]) Post quod in conventione universali Piotrcoviae ubi jus mosque est reges non privatim in conventiculis eligendis quae errores et seditiones plerumque gignunt veluti ex istis instigante marescalio secutae fuissent quoniam jam tunc parum abfuit quin iterum fraternum bellum fuisset excitatum, pro regno hoc paterno et fraterno ac pro M. D. Lith. ad quod Alexander aspirabat nisi per Elisabeth reginam matrem fuisse prohibitus. (Kronika Miechowity 2gie wydanie.)

[72]) Na ten podział Litwy między braci, król Władysław tak się upierał, że pomimo nie dawano mu posłuchu, on w r. 1505 część, jaką mienił jemu przynależną, odstąpił bratu Zygmuntowi. (Skarbiec Litwy t. II. str. 270.) Warto zaś z autentycznem tem oświadczeniem króla Władysława, porównać relacje partyzanta jego Wapowskiego, z jaką szlachetną rezygnacją krył się ze swoim żalem i pochwalał dostojników koronnych, że wybrali brata jego, i tem Litwę, najcelniejszą część Sarmacji oraz puklerz przeciw Moskwie i Tatarom,

rada koronna odpowiadała również przez wysyłane delagacje do Budy, którym przewodniczył Andrzej Róża, arcybiskup lwowski, że w kraju gdzie istnieje wolna elekcja króla, powołanie na prymogeniturę miejsca mieć nie może. A co do *Litwy*, już umowy Jagiełły z Witoldem zniosły i unieważniły prawo dziedziczne Jagiellonów, ostatni zaś sejm by dokończyć dzieła, Koronę i Litwę jako jedno ciało, pod jedną głowę poddał.

Znów Węgry replikują, że pierworodność nietylko u Chrześcian ale u pogan szanowaną była i że chcieliby mieć wyjaśnienie jak to się stało że mimo tej nienaruszalnej instytucji istnieć może wolny wybór *królów* w Polsce. Wymiana owa pism, istniała przez lat 5. Jak widzimy, dotykano przytem najważniejsze kwestje, tyczące się prawa państwowego Polski i Litwy. Przyznać należy, że Węgry z rzadkim taktem tylko w obec roszczeń ich Pana do polskiego tronu powoływali się na pierworodność jego, bo rzeczywiście w Polsce po raz pierwszy odstąpiono od tej zasady, wybierając na królów braci jego młodszych, Jana Olbrachta i Aleksandra, wprawdzie z powodu, że on najstarszy był już królem obcego państwa. Co do *Litwy*, wiedziano snać, że po Gedyminie nastąpił syn jego najmłodszy Jewnuta, a po Olgierdzie jeden z najmłodszych dwunastu jego synów, z drugiej żony zrodzony *Jagiełło*. Tu więc nie powoływano się na primogeniturę, ale na zasadę kardynalną, że Litwa jest dziedziną domu Jagiellonów [73]. (C. d. n.)

RODZINA MIRABEAU.[1]

Ludwik de Laménie, akademik paryski, poprzednik Henryka Taine'a, którego ten ostatni nazywa „prawym człowiekiem i dobrym historykiem“, wydał w zeszłym roku dziełko o rodzinie Mirabeau, z wielu względów na uwagę zasługujące.

Autor pisząc je, rozporządzał obfitym materjałem. Przedewszystkiem ojciec jego przyjaźnił się oddawna z przybranym synem Mirabeau, Łukaszem de Montigny, wydawcą „Pamiętników Mirabeau“, który mu dostarczył wielu dokumentów rodziny tej dotyczących. Syn Łukasza de Montigny dostarczył znowu przyjacielowi ojca setki listów, akt ksiąg rachunkowych i t. p. Autor opracowawszy umiejętnie ten materjał, potrafił wyciągnąć zeń prawdę historyczną. Książka p. de Laménie w ogólności czyta się dosyć ciężko, zawiera wiele szczegółowych danych, ale za to jest pouczającą, bo przedstawia historję rodziny, w której losie odbiły się życie i dążności społeczeństwa „dawnej daty“. Niektóre rozdziały (stosunki feodalne, szkoła fizyokratów), mają ogólno-historyczne znaczenie, wszystkie jednak zawierają wiele pouczających wiadomości, a niektóre zasługują na uwagę pod względem dramatycznym. W obydwóch wydanych dotychczas tomach postać wielkiego trybuna nie występuje jeszcze w całej okazałości; główny zaś przedmiot stanowi los jego rodziny, rodziny „Atreusza i Thyestesa“, jak sam niegdyś ją nazwał. Rodzina ta przedstawia wiele silnych i namiętnych charakterów. Praca Ludwika de Laménie rzuca przytem światło na wiele faktów dotychczas niewyjaśnionych, albo błędnie opisanych. Samo przypuszczenie, że rodzina Mirabeau pochodzi z Florencji, że Arhigietti będąc przez gibelinów w XIII. wieku wypędzony ze swojej ojczyzny, nabył zamek Mirabeau w Prowancji, i nazwisko to przyjął, okazuje się według poszukiwań p. L. błędnem, ponieważ rodzina Arrighetti, przybyła o całe stulecie później. Ojciec trybuna i ten ostatni chcąc sławę rodu swego wywyższyć, dopuszczali się przesady i niedokładności w swoich poszukiwaniach genealogicznych.

Podobnież nieco bajeczną wydaje się historja o dziadku Mirabeau, owym bohaterze, który okryty ranami i nawpół martwy z pola bitwy został wyniesiony, później ożenił się z jedną z najpiękniejszych dam Prowancji, i jeszcze w starości zdumiewał energicznemi czynami. Życiorys tego człowieka opracował sam trybun, dopuścił się jednak przesady, gdyż opierał się bardziej na opowiadaniach, niż na dokumentach, któremi mógł rozporządzać.

Na wielką zasługuje uwagę postać stryja trybuna, który rozmaitych doświadczając zmian losu, w każdym zawodzie okazywał wielką sprawiedliwość, bezstronność i szlachetność. Był on walecznym żołnierzem marynarki, gubernatorem Gwadalupy, reorganizatorem milicji połnocno-zachodnich brzegów swojej ojczyzny, generałem galer maltańskich. Listy, które pisał z Gwadalupy do starszego brata swego, markiza de Mirabeau, dają o nim nader korzystne wyobrażenie. Ze wstrętem też odzywał się o niewolnictwie murzynów, którego jednak nie mógł usunąć. „W moim domu — powiada — nawet sześć razy nie użyto bata, i nigdy nie karano nim murzynów dorosłych, tylko dzieci; ale i na moje własne mógłbym go użyć. W tym kraju i prawie wszędzie rozpowszechnione jest uprzedzenie przeciwko murzynom. Zdaje mi się jednak, że naród ten jest zupełnie do nas podobny, a nawet mniemam, że niewolnictwo czyni nas gorszymi od nich“. W r. 1754 przepowiedział on wyzwolenie z pod władzy Anglji kolonji Ameryki północnej. W innym liście do brata czytamy: „Czy chcesz ażebym został prawym człowiekiem i kark skręcił, czy wolisz, abym postępował wyżej w sposób, którego zawszem się wstydził“? Brata swego, do którego to pisze, poważa on w najwyższym stopniu, dla niego własne korzyści poświęca, i całe życie swoje urządza podług wskazówek markiza, którego uważa za głowę rodziny. Ale na niezależność poglądów maltańczyka, nawet uwielbiony brat ten nie miał wpływu.

Margrabia de Mirabeau, ojciec trybuna, ów „przyjaciel ludzkości“, jak sam siebie nazywa, przedstawiony jest w dziele p. de Laménie jak najdokładniej. Przedewszystkiem poznajemy go jako autora daleko bliżej niż dotychczas go znano „Gdyby ręka moja — powiada margr. — była z bronzu ukutą, wiele przeszłoby czasu, zanimby się zużyła“. Nie tyle jednak niezmordowana działalność literacka tego człowieka przyciągła naszą uwagę, jak zasady jego, które, jak powiada de Tocqueville, „zdradzają zastosowanie tendencji demokratycznych do przekonań feudalnych“. Dumny ze swego pochodzenia, broni on zasad, które później wywołały rewolucję francuską. Walcząc z żoną i dziećmi, używa on wszelkich środków przemocy, które mu „ancien régime“ nastręcza, i wyszydza jednocześnie zabawny stan tegoż. Arystokrata „w każdym calu“ przedstawia się jako zawzięty radykał i pisze dzieła w duchu zupełnie demokratycznym. (Polemika przeciwko centralizacji zarządu, a zwłaszcza przeciwko intendentom, wykład nauki fizjokratycznej). O nich to wspomina Rousseau w liście do margr..: „Podziwiam wielkość i głębokość pańskiego geniuszu, pańskie dzieła oraz dwa inne treści botanicznej, są jedynemi książkami, które wziąłem ze sobą do Anglji“.

Zajmując się sprawami państwa, margr. de Mirabeau nie mógł dobrze własnym rządzić majątkiem, który też wciąż podupadał. Nie był on wprawdzie marnotrawnym, i nie tracił na rozmaite zachcianki mienia swego, ale starał się zawsze podtrzymywać wielkość swojej rodziny. Brat (o którym wspomnieliśmy już), pisze do niego z tego powodu: „Jesteś stworzony do kierowania machiną wielką, a zmuszony byłeś rozporządzać tylko małą, którą jednak rządzić chciałeś, jak gdyby znacznie większą. Powiem ci coś, co nie zważając na pozorny paradoks, jest podług mnie, zupełnie prawdziwem. Człowiek honoru łatwiej może państwem, niż własnym domem zarządzać, ponieważ w państwie może on podług swej woli wybierać narzędzia, w domu zaś może się temi tylko posługiwać, które mu dano. Król może zmienić pierwszego ministra, ale mąż nie może tego z żoną uczynić, i jeżeli kto ma rozrzutną towarzyszkę życia, nie utrzyma porządku w gospodarstwie, chociażby był najzręczniejszym z ludzi. Nie widziano jednak od stworzenia świata takiej żony i takich dzieci, jakiemi Bóg ciebie obdarzył“. Z większą jeszcze szczerością wyraża się tenże brat w drugim liście: „Piękne twe zamiary wydają mi się niekiedy jakoby były na lodzie budowane“. Sam markiz zresztą powiedział o sobie: „Dążności mojego umysłu i charakteru mego są tego rodzaju, że wzajemnie niszczą się. Miałem do czynienia z budowaniem, z gospodarstwem wiejskiem, i zabrakło mi jednak talentu w tej mierze, sam siebie zrabowałem. Jednego tylko nie brakło mi nigdy, a mianowicie dobrych zamiarów.„

Ludwik de Laménie wyjaśnia wreszcie stosunek margr. Mirabeau do żony i dzieci, stosunek, o którym wiele niedorzeczności mówiono. Uważano go pospolicie za tyrana żony swojej i syna, (przyszłego trybuna), ale pozostawiano bez uwagi pytanie, czy przypadkiem taż żona i te dzieci, a zwłaszcza Gabriel Honorjusz, który nietylko największemi odznaczał się zdolnościami umysłowemi, ale także wielką namiętnością, nie przyprowadzili ojca do ostateczności, i nie byli powodem walki, którą z niemi staczał. Oprócz wyżej przytoczonego zdania brata margr. o żonie i dzieciach tegoż, wiele szczegółów przytacza autor, wykazujących niesprawiedliwość powszechnego mniemania o stosunkach rodzinnych margrabiego. Okoliczności, które zaszły w rodzinie Mirabeau, należą do nadzwyczajnych, nawet w społeczeństwie XVIII. wieku. Margrabina, którą „przyjaciel ludzkości“ pojął za żonę z wyrachowania, nie znając jej nawet, była osobą ze wszech miar wstrętną. Córkę swoją, piękną i namiętną margrabiankę de Cabris, sam ojciec uważał za niebezpieczną dla siebie. „Odkąd nie trzymam jej w zamknięciu — powiada

---

z Polską połączyli. Rzetelniejszy drugi kronikarz, Miechowita, w pierwszem wydaniu tejże, niecenzurowanem, mówi, że Władysław król wynik elekcji bardzo wziął do serca. »Moleste male tulit.«

[73]) Obacz co do sprawy króla Władysława wyjątki z archiwum państwa, podane w t. III. Gołembiowskiego Dzieje Jagiellonów t. III. str. 462—7.

[1]) Les Mirabeau. Nouvelles etudes sur la societé francaise en XVIII. siècle par Louis de Laménie 2 Vol. Paris. E. Dentu 1879.

on — nie mam już nic; ona jest duszą tego stowarzyszenia rozbójników, i gdyby jej nie było, nawet matka musiałaby kapitulować". Wyrodna córka ta, zazdroszcząca siostrze swej, pani de Saillant, upokorzona przez ojca, pobudza ustawicznie matkę do walki z głową rodziny, i gubi syna jej Gabrjela Honorjusza, ułatwiając mu wykradnięcie pani de Mounier.

Syn ten, najznakomitszy członek rodziny Mirabeau, rozmaitych jak wiadomo cierpień doświadczał, ale też przyznać wypada, że względem ojca przekroczył granice własnej obrony. Spodziewał się on, że gdy matka zwycięży, wówczas obejmie cały majątek ojca; dlatego też starał się jej dopomódz i pisywał artykuły skierowane przeciwko ojcu, dopóki ten rozgniewany nie uwięził go ostatecznie.

W tych sprawach familijnych nie małą odgrywa rolę pani de Pailly, nader miła Szwajcarka, o której także wiele niedorzeczności pisano, a która jednak według Laménie, była kobietą wysokiego rozumu i uczucia, która wspierała w starości i biedzie drogiego męża swego i poświęciła mu większą część swego majątku.

Dotychczas wyszły dwa tomy dzieła Ludwika de Laménie. Dalszy ciąg będzie zapewne jeszcze bardziej zajmującym, ponieważ od trzeciego tomu bohaterem staje się Gabrjel Honorjusz Mirabeau, człowiek, w którym wyższe zdolności połączone były z pospolitemi skłonnościami, herold rewolucji, który sławą uwieńczony zginął, nim jeszcze dojrzały owoce czynności jego.

OBRAZKI PIÓREM.

I.

ZACHÓD SŁOŃCA.

Piąta. Już wieczór, na niebie zachodu,
Z punktu gdzie słońce zapadło za chmury,
Istotna powódź złota i purpury,
Wzbiera nad borem ćmiącym się u spodu.

Na tle tem z iskier, w rumianej przestrzeni,
Krzewów bez liści, profil chudy, wązki,
Do lada drobnej kreśląc się gałązki,
Drży gwoli rączym podmuchom jesieni.

Od wschodu za to, półkolem szerokiem,
W kontraście z barw tych roztopioną lawą,
Głąb horyzontu na lewo i w prawo,
Coraz to gęstszym zaciąga się mrokiem.

Niekiedy tylko odblask tamtej strony,
Łamiąc się w górze, na mig oka, szparko,
Karmazynową, promienistą szlarką,
Obszywa ciężkie czarnych chmur festony.

Dołem, ni szmeru. Utrudzonej wielce,
Tylu rozlicznych porodów koleją,
Oczy naturze do snu się już kleją,
Pora odpocząć światów karmicielce.

Cicho. Od czasu jedynie, do czasu,
Na ciepłe leże spiesząc, pod zwrotnikiem,
Stado żurawi, długim, smętnym, krzykiem,
«Dobra noc!» śpiącej, śle z za krańców lasu.

II.

MGŁA.

Płomienny Zachód tuman wieścił ziemi.
Zionęły parą hut Bożych czeluście,
I mgła podobna wielkiej, mokrej, chuście,
Na wszystkiem fałdy legła wilgotnemi.

Chcąc przedrzeć całun, co go żywcem chłonie,
Wzrok niespokojny napróżno się miota,
Gdyż, gdzieby nie biegł, mur lotnego błota,
W każdej ze zgrozą napotyka stronie.

Nader li rzadko, gdy prąd wiatru, chyżej,
Zgęszczoną warstwą wyziewów zakłębi,
Po za jej wirem, w tajemniczej głębi,
Przebłyska nieco z przedmiotów, co bliżej.

Szczyt świerku wówczas, do góry, zuchwale,
Z tego tumanów rosnący odmętu,
Zda się być masztem jakiegoś okrętu,
Co na podwodnej utknął tutaj skale.

I co, pod parciem rozwścieklonych wałów,
Rychłej pomocy, z rozpaczą a strachem,
Coraz to szybszym konarów rozmachem,
W języku morskich, przyzywa, sygnałów.

Darmo. Wiatr opadł. Onieruchomiony,
Świerk się też w zgniłe stoczył zamroczyska,
I nic już odtąd zdaleka ni zbliska,
Ich jednolitej nie darło opony.

III.

SŁOTA.

Mgłę deszcz rozprószył. Od rana, od świtu,
Mży drobniusieńki, jakby go kto cedził.
Na dłuższy pobyt ziemię snać nawiedził,
Więc się nie śpieszy, czasu ma do syta.

Kropla za kroplą w łanów sięknąc gliny,
I zwiędłych liści słój rosząc po słoju,
W każdej niw miedzy, w każdym dróg wyboju,
Błotnistych jezior wytwarza seciny.

Plusk! to li słychać, tak w dole jak w górze,
Pod tą kaskadą z niebios bezustanną,
Wszystko z kolei lejkiem, lub też wanną,
W przemokłej nawskróś stało się naturze.

Z wszystkiego wilgoć bryzga, ciecze, kapie,
Na wszystkiem lepką ślini się powłoką,
Łzami kataru, ba! nie jedno oko,
Tobie na żniwo wilżąc Eskulapie!

Pusto. Li czasem, od zimna skostniały,
I w czworo zgjęty, jakiś, gdzieś, przechodzień,
Wzdłuż grzązkich ścieżek ślizga się, by zbrodzień,
Klnąc troskom życia, co z chaty wygnały.

I jedna tylko (względnych wielbicieli
Ma nawet słota!) pstra kaczek gromada,
Z krzykiem rozkoszy, potopowi rada,
W wezbranej kałuż pluszcze się topieli.

Paryż d. 20. Października 1879.

J. S. Chamiec.

NIEKONSEKWENCJA P. DROMMEL.

NOWELLA

przez

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy).

II.

Zamówiwszy śniadanie, pan Drommel postanowił zwiedzić nieustającą wystawę sztuk pięknych, urządzoną na parterze hotelu, w którym się zatrzymał. Bohater nasz jest amatorem sztuk pięknych, ma pretensję do znawstwa i wydawania sądu o wartości obrazów; w wolnych chwilach sam nawet maluje. Wytrwałość w połączeniu z talentem, zdolną jest cuda wytwarzać; pan Drommel nie ma talentu, ale zato nadzwyczaj jest wytrwały. Jeżeli przejeżdżać kiedy będziecie przez Goerlitz, radziłbym wam obejrzyć jego obrazy; jest w nich nie mniej syntezy jak i w jego małżeństwie. Na jednem i tem samem płótnie ma on zwyczaj umieszczać wszystkie znane gatunki skał: granitowe, wapienne, piaskowe i t. p. a obok tego przynajmniej z dziesięć rodzajów drzew; wszystko to wykonane jest z nadzwyczajną dokładnością. Braknie tam tylko jednej rzeczy, nie umiem powiedzieć czego, ale właśnie tego, co stanowi że obraz jest obrazem. Pan Drommel nie troszczy się o podobne drobnostki; jego zdaniem, wierne naśladowanie natury stanowi wszystko w obrazie, zastąpi brak wszelkich innych zalet. — Pomiędzy utworami młodych artystów miejscowych nie wiele znalazło się w podobnym rodzaju, a trzeba przyznać że przypadkowo w owym dniu nie było na wystawie ani jednego arcydzieła. Niestety! Barbison przeżyło swoich wielkich artystów! Rousseau i Millet nie przyczynią już sławy rodzinnemu swemu miastu!

Panu Drommel nic się nie podobało na wystawie i zabierał się już do wyjścia, przymrużywszy oczy, żeby nie patrzeć na obrzydliwe bohomazy, obrażające jego gust delikatny. Stał już na progu, gdy odwołała go napowrót żona; w jednym kącie sali spostrzegła ona obrazek, który jej się wydał zachwycającym. Maleńkie to malowidło przedstawiało grupę jeźdźców wśród lasku dębowego a łączyło w sobie, obok misternego wykonania, delikatny rysunek z przepysznym kolorytem. Twórcę tego obrazka, młodego Henryka Lestoc, znacie wszyscy doskonale; dzielny to i piękny chłopak, ale jak to mówią, djabła ma za skórą; świetną on ma przyszłość przed sobą, jeśli tylko, jak wielu innych, nie zepsują go pierwsze, lekko zyskane laury.

Pomimo uprzedzenia, pan Drommel nie mógł oprzeć się przyciągającemu powabowi obrazka. Długa upłynęła chwila zanim artystyczne jego oczy i nos zdołały nasycić się cudnym utworem pędzla. Zachwyt podwoił się jeszcze, skoro powiedziano mu, że za ten szkic maleńki, mogący się prawie w tabakierce pomieścić, malarz żąda dwa tysiące franków. Każdy filozof musi mieć jakąś słabostkę; słabą stroną pana Drommel było wrodzone uwielbienie dla rzeczy drogo kosztujących i niepohamowana żądza nabycia ich za tanie pieniądze. Kiedy jednak zapewniono go że pan Henryk Lestoc nie zwykł ani jednego centyma ustępować z ceny raz naznaczonej, nazwał pana Lestoc szaleńcem a wymagania jego impertynenckiemi poczem udał się na śniadanie.

Stół zastawiony był pod szopą na brzegu alei ogrodowej. Pan Drommel miał doskonały apetyt, pożerał wszystko, narzekając że nic jeść nie można. Jaja, tego samego dnia zniesione, wydały mu się nieświeżemi; kotlet barani miał być twardy jak podeszwa; świeżą szynkę uznał za gorszą od najstarszej szynki westfalskiej; skrzywił się nawet pijąc wyborną czarną kawę. Zganiwszy w ten sposób wszystko co zjadł, chciał się dowiedzieć ile ma zapłacić za śniadanie, nim się zdecyduje na wynajęcie numeru w hotelu. Otrzymawszy rachunek, wykrzyknął z oburzenia, kłócił się, targował, urywał po trochu na

każdej rzeczy, tak dalece że aż oberżystka się rozgniewała, a o ile zapomiętać można, szanowan pani Picaud nigdy jeszcze nierozgniewała się bez słusznej racji. — Podróżni rozmaitego bywają usposobienia: jedni odbywają podróż tanio i do wszystkiego umieją się zastosować; inni są bardzo wymagający w podróży ale też nie żałują pieniędzy; inni wreszcie chcieliby wszystkiego co najlepsze, ale radziby nic za to nie płacić. Do tych ostatnich należy pan Drommel.

Ekskomisarz policji przyglądał się zdaleka tej maleńkiej scenie, a gdy rozgniewana oberzystka wracała do siebie, szepnął jej pół głosem:

— Dziś wieczorem zażąda on od pani pieczonego anioła na objad, a jak przyjdzie do rachunku, będzie chciał płacić jakby za wróbla.

W pół godziny później pan Drommel przebywał Bas-Bréau, idąc pewnym krokiem ku skałom i wąwozom Solli.

Przed pójściem w drogę, nie zasięgał niczyjej rady, nigdy bowiem w życiu nie radził się nikogo prócz własnego zdania. Nie zamierzał on bynajmniej zwiedzać słynniejszych miejsc; mało go obchodziły okolice w których wszyscy bywają. Zarówno w życiu potocznem, jak w polityce, historji i socjologji, dążył zawsze za oryginalnością poglądów. Będąc w Paryżu kupił sobie Przewodnik, w którym odczytał, że ośm czy dziesięć pasm gór przerzynających las Fontaibleau, zdają się być szczątkami dawnego gruntu złożonego w piasku i żwiru, a zniszczonego częściowo przez kataklizmy; że doliny pomiędzy temi pasmami gór powstały wskutek gwałtownego wtargnięcia podmorskich prądów, przyczem olbrzymie pokłady żwiru, pozbawione naturalnej swej podstawy osunęły się i wytworzyły dzikie a tyle malownicze wąwozy i przepaści. Wyjaśnienie to nie miało szczęścia podobać się panu Drommel. — Nie wierzył on w żadne podmorskie prądy, kataklizmy nie istniały dla niego, a we wszystkiem upatrywał jedynie wyniki działania powolnego. Z głową obładowaną systematami, pan Drommel głęboko był przekonany, że i natura z równą postępować musiała systematycznością, i że gdyby jak on, zasiadała przez trzy lata w reichstagu niemieckim, podobnież jak i on zajęła by miejsce obok socjalistów, nie łącząc się z nimi nigdy. Wychodząc z takiego założenia, pochlebiał sobie, że owocem dzisiejszej wycieczki będzie zupełnie nowa teorja, prawidłowe zaprzeczenie, dotychczasowych danych. Ułożył już nawet w myśli cały artykuł w tym przedmiocie, który wyśle nazajutrz do redakcji swojego dziennika, z dodatkiem kilku dowcipnych przycinków, celem których był *asinus ridiculissimus*, wierzący dotychczas w jakieś wymarzone kataklizmy. Nie szukał on w tej chwili, ani Gniazdka Miłości, acz Wielkiego Buku *) ani zachwycających zachwycających zarośli z grabiny, ni pięknych i czarujących widoków; nie, jemu szło tylko o sformułowanie niezbitych dowodów i argumentów dla poparcia swego artykułu, a gdy tak szedł ciągle naprzód, i naprzód myśl jego zajmował bezustannie *asinus*, który być może, myślał o nim w tej mej chwili. Co za rozrzewniająca sympatja dwóch umysłów niepospolitych!

Pan Drommel umarłby ze wstydu sam przed sobą, gdyby miał się zapytać kogobądź o drogę nie zwracał nawet uwagi na czerwone i niebieskie znaki, porobione na pniach dębów i skał odłamach, w chwalebnym celu ułatwienia drogi pieszym podróżnym. Zabrał z sobą bussolę i mapę, a i do nich w nadzwyczajnych tylko udawał się wypadkach. Przed panem Drommel szedł wielki, bohaterski nos jego, o rozdętych nozdrzach, przewodnik nieomylny, znający zawsze drogę, badawczy i przenikający znane i nieznane rzeczy. Za mężem postępowała pani Drommel. Jakkolwiek 30. września, upał był nieznośny; na niebie ani jednej chmurki, a biedna kobieta nie miała żadnej osłony przeciw dokuczliwym promieniom słońca, gdyż z rozkazu swego męża i pana, musiała parasolkę zostawić w hotelu. A zresztą, na cóżby się jej przydała parasolka? Obie ręce miała zajęte; w jednej niosła wielki szal w kraty, złożony we czworo, który pan Drommel miał zamiar podłożyć pod siebie, gdyby mu przyszła ochota usiąść na trawie, albo włożyć na siebie na wypadek deszczu; drugą zaś ręką dźwigała koszyk z zapasami żywności, przysposobionemi na zaspokojenie gwałtownych wymagań żołądkowych, od których nawet socjologowie nie bywają wolni.

Szal zawadzał i zwiększał tylko gorąco, koszyk był niezmiernie ciężki, ścieżka, wijąca się wśród skał rozrzuconych, stroma i niewygodna, ale pani Drommel uśmiechała się. Wiadomo, że szwankowała na prawą nogę, co przyczyniało jej zmęczenia, znużona zatrzymywała się na jedną chwilkę, wątpiąc czy zdoła wytrwać do końca podróży; ale natychmiast zbierała swe siły, zdobywała się na odwagę i z uśmiechem na ustach, szła dalej. Gdy słońce za bardzo już dokuczało, pani Drommel wzdychała tylko, myśląc o parasolce. Drobne jej nóżki to zapadały w lotnym piasku, to znów ślizgały się po zdradliwych szpilkach sosnowych, a ona pocieszała się myślą, że ten co wynalazł powozy na resorach, musiał być genjalnym człowiekiem.

Od dzieciństwa czując wstręt nieprzezwyciężony do wężów, wyobrażała sobie co chwila, że nadeptała na żmiję, która sycząc wypręży się i rzuci się na nią; pomimo to przecież, uśmiech lic jej nie opuszczał. Od czasu do czasu zatrzymywała się dla odetchnienia i spoglądając po za siebie, zdawała się spostrzegać w gąszczu zarośli czy też w jasnem przezroczu niebios, nie wiem już co takiego: złudzenie, jakby rozkoszną scenę ze swej przeszłości, jakby obraz osoby, po której w pamięci jej miłe zostało wspomnienie. A potem, gdy znów się odwróciła, miała przed sobą maleńkiego, pękatego człowieczka, którego olbrzymia głowa i szeroka łysina impertynencko odznaczały się na jasnym błękicie; pękaty ten człowieczek był jej teraźniejszością; posiadał on wprawdzie syntezę, ale ani myśl mu nie przychodziło zapytać swej kotki, czy nie czuje się znużoną; kotka uśmiechała się przecież. Mówiła sobie niekiedy:

— A nuż... a jeżeli jakim cudem...?

Cud nie następował, a ona uśmiechała się jeszcze, uśmiechała się zawsze.

Zacna ta kobieta, na wszystko z dobrej zapatrująca się strony, wytrwała w przeciwnościach, z zaufaniem licząca na szczęśliwe wypadki losowe, własnem przekonała się doświadczeniem, że na tym świecie mniej jest róż aniżeli kolców, umiała jednak omijać te ostatnie i zrywać róże bez ukłucia swych paluszków. Dobroduszny uśmiech, jaki w dzieciństwie jeszcze przejęła od swej matki, również łagodnej i uprzejmej kobiety, nie opuszczał jej nigdy. Oparł się wszelkim przeciwnościom losu, przetrwał ciężką biedę lat młodocianych, towarzyszył jej we wszystkich kolejach życia, zarówno w mozolnych staraniach o uzyskanie występów, jak i w upojeniu pierwszych chwil powodzenia; był jej ozdobą w życiu prywatnem i na scenie; nawet w chwili owej stanowczej, gdy nogę złamała, nawet wśród wątpliwych przyjemności syntetycznego małżeństwa. A kiedy umrze i złożą ją w trumnie, i wtenczas jeszcze słodki ten uśmiech po raz ostatni blade jej usta ozłoci.

Wydostawszy się na dolinę, pan Drommel przyśpieszył kroku, co widząc żona, rzekła cała zadyszana:

— Nie masz względu na własne zdrowie; obawiam się, abyś się nie zmęczył.

Podeszła do niego. Pan Drommel odwrócił w jej stronę szerokie, zroszone potem swe czoło, a ona obtarła je koronkową chusteczką, napróżno łudząc się nadzieją, że usłyszy z ust męża:

— Jaki ja nierozważny! biegnę i biegnę, zapominając, że tobie już sił nie starczy! Odpocznijmy trochę.

Zamiast czegoś podobnego, mąż wskazał tylko palcem na swoje goljatowych rozmiarów nogi i mruknął lapidarnie:

— Żelazo! — a potem dodał, w formie komentarza: — Nie jestże to zabawną rzeczą, że ty od dwóch lat już będąc panią Drommelową, nie wiesz jeszcze, że ja, Drommel, nie czuję się nigdy zmęczonym?!

Co powiedziawszy, ruszył w dalszą drogę.

Nareszcie, po trzechgodzinnej wędrówce i wielokrotnem niepotrzebnem kołowaniu, dotarli do wzgórza Chauvet, gdzie pan Drommel zadecydował przystanek, nie dlatego, iżby się czuł zmęczonym, ale że żołądek jego zaczął natarczywie upominać się o swoje prawa. Uparty, jak zawsze, socjolog nie doszedł, jak mu radzono, do źródła, zkąd piękny roztaczał się widok, ale wybrał sobie duży kamień pod samotnie stojącym bukiem, i nie myśląc wcale o pomieszczeniu żony, której zostawił wolność wyszukania dla siebie innego kamienia, wziął od niej szal, rozłożył go na swoim kamieniu i rozsiadł się wygodnie, opierając się plecami o drzewo. Pani Drommel postawiła koszyk na ziemi i wyjęła z niego kurczę, które znikło niebawem w wnętrznościach wielkiego filozofa. Za kurczęciem poszły trzy szklanki piwa. Pan Drommel uznał piwo obrzydliwem, poczem, najspokojniej w świecie, zaczął spisywać notatki do wstępnego artykułu, w którym zamierzał zmieszać z błotem paryski Przewodnik, przyczem i *asinus* miał dostać za swoje.

Pani Drommel umieściła się tymczasem o tyle o ile na pniu wywróconego drzewa; nie było się o co oprzeć, ale ona nie zważała na podobne drobnostki. Tłukła sobie kamykiem orzechy i jedząc je, zachwycała się piękną miejscowością. Chwilami, końcem swego bucika grzebała w przekwitłej murawie, szepcząc:

— A nuż... a jezeli pokaże się jakim cudem, jak zacznę grzebać w ziemi?...

Co takiego? nie wypowiedziała, uśmiechem kończąc rozpoczęte zdanie.

Niestety! grzebanie nóżką do niczego nie doprowadziło; ziemia głucha była na to zaklęcie; nikt z niej ani nic się nie pokazało!

Panu Drommel ani przez myśl nie przeszło w tej chwili, że jest żonatym. Prowadził

*) Le Nid d' Amur, le Gros-Fontean, tak się nazywają najbardziej urocze ustronia w lesie Fontainebleau. (Przyp. Tłum.)

dalej notatki, i swoim zwyczajem ciągnął się za lewe ucho, gniótł je, wykręcał na wszystkie strony lub rozciągał do nieskończoności; był to nieomylny jego sposób szukania natchnienia, gdy pisał. Od czasu do czasu żona rzucała okiem na to olbrzymie, zaczerwienione ucho, mimowolnie przypominające jej nietoperza; poczem spoglądała na szal w kraty, na koszyk, którego ciężar odczuwała jeszcze na ręku, zawracała oczy w czyste lazury nieba, po którem, zdawało się jej, że widzi przesuwającą się piękną, wygodną karetę — i znowu nóżką grzebała w ziemi; pragnienie cudu widocznie przeszło u niej w fazę niezłomnego postanowienia. Jak łatwo odgadnąć, pan Drommel nie domyślał się niczego.

Tak był zajęty swoją pracą, że nie zwracał uwagi na ubiegające godziny. Słońce miało się już ku zachodowi, gdy powstał ze swego siedzenia i dał znak do powrotu. Na nieszczęście, czy to, że jasnowidzenie jego było przemijającem, czy też wskutek roztargnienia, nie mógł odszukać właściwej drogi i w końcu zabłądził na dobre. Żona spostrzegła to zaraz, w pierwszej chwili, ale zamknął jej usta twierdzeniem, że obejdzie się bez wszelkich uwag, bo zna doskonale miejscowość. Nie dosyć na tem; schodząc po skalistej ścieżce, pani Drommel pośliznęła się i upadła, nie zrobiwszy sobie wprawdzie nic złego. Zamiast podać jej rękę, złajał ją po grubiańsku za niezręczność i rozgniewał się. Ona podniosła się szybko i przepraszała go jak mogła; a chcąc uniknąć powtórnego wypadku, zwolniła kroku. To go bardziej jeszcze rozgniewało, a już wściekłym był prawie, gdy ścieżka, którą szli, doprowadziła ich do miejsca, gdzie zamiast jednej, ujrzeli przed sobą pięć dróg, w różne wiodących strony. Którą z nich wybrać? Zakłopotany socjolog irytował się tem najmocniej, że czuł się zakłopotanym. Było już za ciemno, aby można było odczytać napisy wskazujące drogę, całą więc złość swoją wywarł na żonę, która, korzystając z chwili wahania i niepewności męża, siadła na stoku góry, aby ulżyć nieco strudzonym nogom.

— *Mulier magnum impedimentum!* — zawołał pan Drommel.

I prosząc żonę, aby zaczekała, puścił się na chybił trafił jedną z pięciu dróg, licząc na to, że spotka może kogo, co mu wskaże właściwy kierunek.

Oprócz wrodzonego wstrętu do wężów, pani Drommel była także nieprzyjaciółką samotności. Tem bardziej musiała być wzruszoną, zostawszy sama jedna wśród lasu, podczas zapadającego zmroku. Dla dodania sobie odwagi, zaczęła śpiewać, co już wiele znaczy; ani przez myśl jej nie przeszło, że może kto ją podsłuchiwać. Nagle przerwała śpiew, usłyszawszy szelest kroków. Serce zabiło jej mocno, krew wystąpiła na lica.

— Czy to ty, Johann? — zawołała.

Czysty i dźwięczny głos odpowiedział jej:

— Nie, pani, nie jestem Johannem, co mi bardzo przykro, skoro jego pani przyzywasz.

Wzruszenie przeminęło i ustąpiło miejsca przyjemnemu zadziwieniu. Głos ów nie miał w sobie nic zatrważającego; uspokoiła się zaś zupełnie, gdy ujrzała przed sobą ładnego chłopca, z maleńkim blond wąsikiem, niosącego na ramieniu przyrządy malarskie. Był to malarz rzeczywiście, Henryk Lestoc, w własnej osobie, wracający z artystycznej wycieczki w okolice.

Jeżeli talent go nie zawiedzie, zwać go będą wielkim Lestoc; tymczasem nazywają go maleńkim, nie dlatego iżby miał być niedorostkiem, ale że jest szczupły, wysmukły i wątły, jakkolwiek żelaznego zdrowia. Co najmniej do lat trzydziestu będzie jeszcze uchodzić za młodzika. Zresztą maleńki Lestoc jest dwoisty; jednego znają mężczyzni, drugi znany jest tylko kobietom. W towarzystwie męczyzn jest on zimny, ostrożny, surowy, ironiczny, szyderczy, niekiedy miewa szalone wybuchy wesołości, zwykle jednak sztywny do tego stopnia, że wiele osób bierze go za Anglika. Z kobietami, zupełnie co innego, pełen jest naiwności, odgrywa rolę niewinnego baranka, a łącząc do tego bezczelne zuchwalstwo pazia, pozwala sobie wielu rzeczy, któreby innemu nie uszły bezkarnie. Ale czyż można się gniewać na dziecko?

Jedna z pań tak go oceniła:

— Jest to Cherubin w epoce pierwszej swojej hrabiny i drugiego sposobu uwodzenia.

— Dodawszy do tego jeszcze ze dwie lub trzy Zuzanny — rzekła inna, znająca go cokolwiek lepiej.

Artysta zbliżał się z głową wzniesioną w górę, z okiem ożywionem; zdawał się być zachwycony niespodzianem spotkaniem. Na trzy kroki przed panią Drommel, zdjął z uszanowaniem kapelusz i stał tak przez chwilę, pożerając ją oczyma, a raczej, żeby dokładniej się wyrazić, upajając się jej widokiem; miał teraz minę zdumionego i zachwyconego znawcy, raczącego się niespodzianie wybornem winem w wiejskiej karczmie. Ona również spoglądała na niego i przypominała sobie swoje marzenia na wzgórzu Chauvet. Musiała sobie przyznać, że nóżka jej nie na próżno się trudziła grzebiąc w ziemi, bo, koniec końców, coś wygrzebała. Czy to właśnie o czem marzyła? Zapewne że nie, ale bądź co bądź, to co wygrzebała, przypadło jej do gustu. Wiemy już, że pani Drommel umiała zawsze zgodzić się z wolą niebios.

— Ten czy ów, mniejsza o to — powtarzała w swych modłach — byle tylko znalazł się ktokolwiek!

Przyszło jej na myśl, że została dłużną w odpowiedzi nieznajomemu młodzieńcowi.

— Widzisz pan przed sobą — rzekła — kobietę bardzo nieszczęśliwą. Jest tu pięć dróg do wyboru, a ja nie wiem, która prowadzi do Barbison.

— Właśnie tam idę — odpowiedział. — Przyznasz pani, że samo niebo mnie tu przysłało.

I ofiarował jej swe ramię, którego ona nie przyjęła.

— Znajduję się w trudniejszem położeniu, aniżeli pan sobie wyobrażasz — odparła. — Mąż mój poszedł, aby rozpoznać drogę, a ja czekam na niego.

Na wiadomość, że w sprawę tę wmieszany jest mąż, i że ten mąż znajduje się w pobliżu, Henryk Lestoc doznał wielkiego niezadowolenia; zdawał się być przerażonym, a niemiły zawód tak wyraźnie przebijał się z jego oblicza, że pani Drommel, obdarzona nader czułem i litościwem sercem, nie mogła pozostać obojętną na zmartwienie młodzieńca.

Odpowiedziała mu skinieniem głowy, które miało znaczyć:

— Kazał mi jednym tchem, co najmniej cztery mile zrobić piechotą, nie zapytawszy ani razu nawet, czy nie jestem zmęczoną; a trzeba panu i to wiedzieć, że musiałam nieść koszyk z prowizjami; jeszcze mam znaki od niego na ręku. Przed chwilą on sobie usiadł na pledzie, i wieki całe gryzmolił Bóg wie co, nie przemówiwszy do mnie ani słówka; jedyną dla mnie rozrywką pozostało przyglądać się lewemu jego uchu, które nigdy jeszcze nie wydało mi się tak ogromnem; już to przyznać trzeba, że co wielkie, to wielkie. Ale niech mu tam pan Bóg przebaczy jego grzechy! ja nie jestem mściwa. Co do pana, trafiłeś na dobry dzień, przybywasz w samą porę. Staraj się korzystać z okazji, bo podobna sposobność nie prędko się zdarzy.

Jakkolwink Lestoc i połowy nie zrozumiał z tego co pani Drommel chciała mu wypowiedzieć owem skinieniem głowy, — usiadł natychmiast obok niej, troszkę tylko niżej, na pochyłej murawie.

Zawiązała się rozmowa; poznajomili się z pośpiechem, usprawiedliwionym niespodzianem spotkaniem, fatalizmem sympatji, zapadającą nocą, a nadewszystko miejscem w którem się znajdowali. Wśród lasów rzeczy idą prędko; pod tajemniczem ich sklepieniem myśl przebiega przestrzenie ze zdumiewającą chyżością. Las nigdy nie jest niewygodnym świadkiem — czasami nawet odgrywa rolę wspólnika.

Po dwóch minutach rozmowy, pani Drommel odgadła, że ten piękny blondynek jest twórcą owego zachwycającego obrazka, nie zaniedbała też obsypać go komplementami. Artysta ze swej strony, odpłacając jej pięknem za nadobne, powiedział jej (co uważał za najwyższą dla kobiety pochwałę) że wziął ją za Paryżankę, że wnosił to z jej ruchów, z jej kształtnej kibici, eleganckiego kapelusika, i prześlicznej sukni, pochodzącej niezawodnie z pierwszorzędnej pracowni paryzkiej. Odpowiedziała mu na to, że wychowaną była bardzo starannie; że od młodości nauczono ją, iż Niemka z nad Sprei powinna się ubierać w Frankfurcie nad Mernem, a mieszkanka Frankfurtu w Paryżu.

Dowiedział się też niebawem że była dawniej tancerką i że przez dziwną igraszkę losu, została żoną socjologa. Ten gatunek zwierząt nieznanym mu był zupełnie, ale jako obdarzony bujną imaginacją domyślił się od razu o co rzecz idzie, i chociaż pani Drommel wyrażała się nadzwyczaj delikatnie, odtworzył sobie w myśli od stóp do głów całą postać małżonka. Krótko powiedziawszy, zanim kwadrans czasu upłynął, wiedział wszystko co chciał, chociaż ona nic mu nie powiedziała, ale oboje byli bardzo pojętni i skłonni do porozumienia się jak dwaj złodzieje na jarmarku.

Tymczasem pan Drommel jak nie wracał tak nie wracał; zaczynało to wzbudzać obawę; pani Drommel jednak przestała się już niepokoić; miała teraz do myślenia zupełnie o czem innem.

— Przeszłego roku — mówił młodzieniec, wpatrując się w nią bardzo skromnie i jednocześnie bardzo zuchwale — przeszłego roku znalazłem w lesie drogocenny klejnot; podałem o tem ogłoszenie do dzienników, nikt się nie zgłosił i klejnot został przy mnie. Dzisiaj znajduję kobietę! Nikt się o nią nie upomina, mam więc ochotę zatrzymać ją.

Skłamał, bo brać brał, ale nie zatrzymywał nigdy.

Zuchwała mowa nie obraziła wcale Niemki.

— Za pozwoleniem, mój panie — odrzekła śmiejąc się — podaj pan wprzód ogłoszenie do gazet — a potem dopiero zobaczymy.

*

W tej chwili, od strony rozstajnych dróg, dał się słyszeć głos przenikliwy:

— Ada! Ada!

— Jestem! zaraz idę — odpowiedziała powstając.

Maleńki Lestoc wstał także, i szepnął z rozpaczliwym gestem:

— To on! poznaję go po głosie. Boże, zmiłuj się! papiery moje spadają.

Skłonił się, odstąpił parę kroków; potem, zuchwały młodzik odwrócił się i wyszeptał cichuteńko:

— Czy on bardzo zawadzający?

Rozśmiała się znowu i również cicho szepnęła.

— Przekonasz się pan dziś wieczór. — A staraj mu się pan podobać — dodała głosem nakazującym.

— Postaramy się — odrzekł krótko.

I znikł na ścieżce. Ada dogoniła niebawem męża, który zdaleka już zaczął z niej przedrwiwać.

— Czegoś taka pomieszana? założyłbym się żeś się bała! Oj, ty kobieca czyli głupia głowo, co ci się mogło stać? Myślałaś że cię wilki zjedzą?

Mogłaby mu odpowiedzieć, że właśnie spotkała jednego, który nietylko że jej nie zjadł, ale nawet podobał się jej bardzo i był nader uprzejmy.

Kobieca głowa nie raczyła na drwinki odpowiedzieć, ale za to poprawiła mu rozwiązany krawat i rzekła krótko:

— Śliczny jesteś!

Potem wyciągnęła bielutką swą rączkę i nadstawiła ją do pocałunku. Mąż krzywiąc się spełnił tę formalność i burknął niedźwiedziowato.

— Spieszmy się, a uważaj żebyś nie upadła znowu. Drogę znalazłem, ale ledwo za godzinę możemy być na miejscu, a ja umieram z głodu.

Ada z największym wysiłkiem puściła się w dalszą drogę. Zwichnięcie nogi w skutek upadku, o którem zupełnie zapomniała podczas rozmowy z nieznajomym młodzieńcem, teraz boleśnie się jej przypomniało. Szczerze mówiąc, zwichnięcie samo nie było tak dalece dotkliwem, ale, po kilkogodzinnem znużeniu, trudno się dziwić, że biedna kobieta utykała na każdym kroku, a gdy się już dostali na gościniec wiodący ku Fleury, zbrakło jej sił zupełnie, tak że musiała przysiąść na boku żeby nie upaść wśród drogi.

Łaskawe przecież bogi, czuwające nad pięknemi kobietami, zlitowały się i zesłały jej pomoc. Na gościńcu ukazała się kareta; szlachetny jakiś cudzoziemiec wychylił z niej głowę i machając ręką obsypaną pierścieniami, zawołał wybitnym włoskim akcentem:

— Jadę z Fontainebleau do Barbison; mam dwa miejsca wolne, a będę ogromnie ukontentowany, skoro raczycie je państwo przyjąć.

Przy tych słowach wyskoczył z pojazdu dopomógł wsiąść obojgu państwu Drommel, a przerywając ich podziękowania, odparł krótko:

— Ja kiedy oglądam jedną kobietę zmęczoną, moje serce ono się wzdryga.

Jeżeli szlachetny cudzoziemiec nie wyrażał się zbyt poprawnym językiem, miał w zamian za to pańską powierzchowność, wyszukane ruchy, kształtną głowę, i ciemne matowe oblicze, okolone czarnemi brwiami i takąż artystycznie uczesaną i rozdzieloną brodą. Adę, przy dobrym jej guście, raził w nim przesadny zbytek pierścieni i przesadna rozmaitość perfum, jakiemi nasycone były jego chustka, ubiór cały i włosy. Ale wygodnie rozpierając się na miękkich poduszkach karety, czując jak nowe życie wstępuje w strudzone jej członki, zbyt wiele miała do zawdzięczenia temu opatrznościowemu człowiekowi, aby mogła mu nie przebaczyć podobnych drobnostek.

Co do pana Drommel — mówmy otwarcie — gotów on był w uprzejmości okazanej przez Włocha dla myśliciela niemieckiego, upatrywać jeden z owych instynktowych a zupełnie naturalnych objawów czci należnej rasie dominującej od ras podrzędnych. Zdawałoby się, a kto wie, może i on sam był tego przekonania, że kareta była jego własnością i że to on wyświadczył łaskę Włochowi; traktował go bowiem z góry, łaskawie, z pewną umiarkowaną względnością.

Stosunek ten jednak nietrwał zbyt długo; skoro bowiem z przebiegu rozmowy, myśliciel niemiecki dowiedział się, że pierścieniowy pan jest sycylijskim magnatem, noszącym świetne nazwisko księcia Malaserra, zmienił nagle sposób obejścia, język mu się rozwiązał, wpadł nawet w zapał i rozrzewnił się wkońcu.

Socjolog nasz oprócz szczególniejszego zamiłowania w rzeczach kosztujących drogo, miał jeszcze wrodzoną słabość dla wszelkich wielkości; książęca przyjaźń była w oczach jego najwyższem dobrodziejstwem niebios.

Pod wpływem tego upojenia, pan Drommel rozwinął cały zasób swoich zdolności umysłowych, aby przekonać znakomitego cudzoziemca, że cokolwiek mogą mówić o nim złośliwe języki, on, Drommel, nie zbłądził bynajmniej w lesie, zważywszy że nie błądzi nigdy; wyjaśnił mu szczegółowo, że w gruncie rzeczy, droga, którą obrał, była dobrą, a jeżeli na chwilę znalazł się w kłopocie, wynikło to ztąd iż kierował się według mapy sporządzonej w sztabie jeneralnym francuskim; przy tej sposobności nie zaniedbał oświadczyć, że Francuzi nie znają wcale jeografji, i że ich mapy są bez żadnej wartości. Szlachetny cudzoziemiec przyznał mu słuszność i wtórował mu na tę samę nutę; co tak zachwyciło naszego bohatera, że kiedy kareta zatrzymała się przed austerją w Barbison przejęty już był żywą sympatją dla nowego swego przyjaciela, księcia Malaserra.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

W swoim czasie wspominaliśmy o tak zwanych japońskich zwierciadłach, które od dawna są znane w krajach buddystycznych, i nawet tam mają pewne znaczenie w obrządkach religijnych.

Zwierciadła takie na pierwszy rzut oka nie przedstawiają nic nadzwyczajnego. Polerowana ich powierzchnia odbija promienie jak zwykle każde zwierciadło. Lecz gdy się nań rzuci snop światła, a potem odbite promienie złowi na ekranie, to występują wtedy rysunki, których przedtem na powierzchni zwierciadła w żaden sposób dopatrzyć się nie można, a które są odbiciem wypukłych rysunków, umieszczonych na tylnej ścianie. Zwierciadła takie są okrągłe i nieco wypukłe, tak że obrazy w nich widzimy jak zwykle w wypukłych zwierciadłach, zmniejszone. Są one odlane z bronzu, z przodu pokryte amalgamatem, a z tyłu ozdobione w płaskorzeźbę, wyobrażającą ptaki, zwierzęta i krzewy.

Z początku nie umiano sobie zupełnie wyjaśnić zjawiska tego, że tylne wypukłe obrazki pojawiają się potem w mniej lub więcej wyraźnych rysach na ekranie. Przypuszczano tylko, że powierzchnia polerowana ma w różnych miejscach, różną budowę molekularną, tak że promienie od różnych miejsc, lepiej lub gorzej, zależnie od układu miejscowego drobin, się odbijają. Lecz doświadczenie czynione przez panów Ayrtona i Perry, którzy dłuższy czas bawili w Japonii, i ztamtąd te zwierciadła przywieźli, o czem innem pouczyło. I tak np. jeśli się na tylnej stronie takiego zwierciadła zrobi kreskę, jakiemś ostrem narzędziem, i wystawi się potem przednią ścianę na słońce, to chociaż na polerowanej powierzchni nie ma żadnego znaku, to jednak w odbiciu ta kreska wyraźnie na jaw występuje. Wygląda to tak, jakby bronz był przezroczystym dla promieni światła i dlatego też Chińczycy nazywają takie zwierciadła: *Theu-kuang-kien*, t. j. „zwierciadła przepuszczające światło."

Objaśnienie tego dziwnego zjawiska, leżało w poznaniu fabrykacji tych zwierciadeł. Okazało się, że powierzchnia polerowana nie jest regularną, lecz że w tych miejscach, gdzie płaskorzeźby z tyłu mocniej występują, jest ona bardziej płaską, a zaś więcej wypukła tam, gdzie zwierciadło cieńsze. Pochodzi to ztąd, że gdy takie zwierciadło poddaje się operacji polerowania, to się je przyciska mocno z góry i zwierciadło ugina się łatwiej pod naciskiem w miejscach, gdzie jest cieńszem, niż tam gdzie jest grubszem, a takie wygięcia pozostają potem do pewnego stopnia, niewidziane wprawdzie wprost dla oka, lecz tylko widzialne w promieniach odbitych.

To wyjaśnienie usunęło stanowczo dziwaczne bajki, krążące o takich zwierciadłach.

* * *

Znany akademik francuski, p. Berthelot, ogłosił niedawno swe poszukiwania, nad wpływem dźwięku na chemiczną konstytucję ciał. Do zajmowania się tą sprawą pchnęły go doświadczenia nad eksplodującemi materjami. Wiadomo, że dynamit np., zapalony zwykłym ogniem pali się żywo, ale bez wybuchu. Natomiast, jeśli przy nim sprowadzimy mały, ale gwałtowny wybuch innego ciała, kapsli np., to cała jego massa wybucha z nadzwyczajną gwałtownością. Na podstawie tego twierdzono, iż tylko przez wstrząśnienie powietrza gwałtowne, przez raptowne uderzenie drobin nastąpić może silna eksplozja. P. Berthelot doszedł do zupełnie innych rezultatów i liczne jego doświadczenia wykazały, że na związki chemiczne same fale dźwięczne nie mają żadnego wpływu, i to, co obserwujemy przy materjach wybuchowych, jest bezpośredniem działaniem mechanicznem, uderzeniem silnem bardzo czy to powietrza, czy też ścian naczynia, w którym ta materja jest zamkniętą.

CURIOSUM.

Z gazety petersburgskiej *Bereg* czerpiemy następujące szczegóły o pewnem ciekawem wydawnictwie, dotyczącem Rosji:

„Rosja zwraca ostatniemi czasy szczególną uwagę Europy, na nieszczęście, tylko Europa, zapragnąwszy poznać państwo rosyjskie, postąpiła sobie z wiadomościami o niej bardzo lekkomyślnie.

Ażeby się o tem przekonać, dość przejrzeć kilkanaście grubszych i cieńszych książek i broszur w różnych językach, traktujących o Rosji i nihilizmie, dość przeczytać kilka czy kilkanaście obrazów powieściowych, narzuconych jaskrawemi farby na płótnie fejletonów bulwarowych dzienników paryskich.

Nie wiele barw artystycznych, żadnego rachowania się z prawdą faktyczną, żadnych ceremonji, i wreszcie zupełny brak wszelkiej przyzwoitości: oto główne cechy tych zlepków.

Wszystkie one bawią się na koszt przedmiotu ich eksperymentów, a niektóre traktują go z ukrytą po za osłonkami fantazji i nieznajomości rzeczy zaciekłą nienawiścią.

Jedną z tego rodzaju prac (zresztą nawet pomiędzy swemi siostrzycami stanowiącą *curiosum*) jest *La Russie et le nihilisme, par M. Pierre Fredé, Paris 1880.*

Rzecz opisuje podróż pana Frédé (o ile sądzić można, wymyśloną) do Rosji i liczy 18 rozdziałów.

W trzecim rozdziale podróżnik wjeżdża do Rosji i pierwszą rzeczą, która mu się zaraz po przebyciu granicy rzuca w oczy, a raczej w nos, jest mocny, niezmiernie mocny zapach *cuir de Russie*, który odrazu otacza podróżnych i przenika ich odzież!

Drugim znakiem szczególnym, który znakomity dostrzegacz po przekroczeniu granicy dostrzegł, był strażnik pograniczny, w towarzystwie dwóch kozaków, noszących jakieś łachmany, lecz mających pierś zawieszoną mnóstwem medali, na pamiątkę różnych wojen; medale były różnego kształtu: okrągłe, trójkątne i kwadratowe.

Wszyscy Rosjanie mieli za plecami piki, a w ręku baty i dopytywali się gwałtownie p. Frédé o pasport. Ma się rozumieć (a jakże?) podróżnym nie pozostawało nic innego, jak dać im 4-frankową monetę, poczem spokojnie mogli jechać do Petersburga. Po drodze podróżni zwiedzili Mitawę, Rygę i Dorpat, w którego uniwersytecie począć się miał nihilizm, w jaki sposób? w tem miejscu bliżej p. Frédé nie objaśnia.

Wreszcie podróżni dojechali do Petersburga.

Przed jedną z bram (?) miasta zatrzymała ich pikieta kozaków; ażeby uniknąć zwłoki znakomity podróżnik dał zaraz od ręki oficerowi dowodzącemu strażą (pokazało się później, że to jakiś książę) rubla *(un salcove???)*, lecz oficer żądał dwa ruble i to w ten sposób, że począł się na obcasach obracać w koło, trzymając ręce po za sobą, tak, że wymaganą kwotę otrzymał nawet sam jej nie widząc (!!!).

Dzięki temu domyślny p. Frédé, odrazu pojął, że jeśli jaki Rosjanin poczyna się obracać w kółko na obcasach, widocznie, trzeba mu dać kubana; przy tej okoliczności podróżnik opowiada bardzo ciekawą i niermiernie prawdopodobną anegdotę o tem, jak w kancelarji jakiegoś ministra oszukał pewnego jenerała, obwieszonego od stóp do głów orderami, włożywszy mu w rękę zamiast 3 półimperjałów, 3 *miedziane sous.*

Dalej narzeka nasz pokojowy Tissot na „kontrybucję 40-frankową, którą przybywający do Rosji płacić muszą“ i na jakąś specjalną surowość, z jaką prawo cywilne traktuje dłużników-wierzycieli.

O — tutaj właśnie wydobywają się panu Frédé'mu ośle uszy z pod lwisj skóry — Tutaj widać po za nim jakiegoś zbankrutowanego fryzjerczyka (lub kamerdynera uzdolnionego do wszystkiego), który w Rosji nie robił karjery, a który jest serdecznym przyjacielem autora broszury, lub nawet nim samym

Biedakowi tedy wszystko przedstawia się w ciemnem świetle; założył czarne okulary i ani na chwilę ich podczas fikcyjnego swego pobytu w Rosji nie zdejmuje.

Więc ludzie brzydcy — zwyczaje barbarzyńskie — jedzenie złe — prawa niegodziwe — ba! klimat nawet (zdawałoby się, że to temat bezparcialny) dostał od pana F. surową naganę.

Pokazuje się więc, że klimat Petersburga jest niemożliwy, straszny. „Wieczorem przejeżdżasz jeszcze przez Newę łódką, na drugi dzień rano już jeżdżą saniami.“ I to jeszcze nic. Bo np. „czworonogi i ptaki zamarzają w Petersburgu, a wróble, sroki i gołębie często w powietrzu marzną w locie i spadają na ziemię, jak gdyby rażone kulą“.

„Pomimo to, Rosjanie utworzyli spisek w celu przekonania, że klimat Petersburga nie ustępuje wcale aurze lazurowej Italji. W tym celu kawalerowie i damy w mróz trzaskający przechadzają się po bulwarach Newy w odzieży jaknajlżejszej. Ma się rozumieć, wynikiem takich przechadzek są zapalenia płuc, skutkiem czego też arystokracja rosyiska umiera głównie na tę chorobę.“

„Niebezpieczeństwu takiemu podlegają również wojskowi, którzy przy spotkaniu z władzą wyższą, są obowiązani stawać i zdejmować czapkę; od mrozu zamarza im w głowie mózg. Ale to głupstwo. Dyscyplina wojskowa za niezastósowanie się do przepisu karze kilkomaset razami kijów. Ma się rozumieć, w ten sposób wszyscy starają się jaknajrzadziej wychodzić na ulicę. Ukazują się na niej tylko napół nadzy żołnierze.“

Nowości te są niezmiernie ciekawe, ale nasz dzielny spostrzegacz znajomi nas ze stokroć ciekawszemi jeszcze szczegółami z życia Rosjan.

„Co się tyczy religii wyznawanej przez Rosjan, to nic pewniejszego nie da się o niej powiedzieć; osób wyznania prawosławnego jest w Rosji daleko mniej, aniżeli Europa mniema, ponieważ, nie licząc Czerkiesów i Polaków, którzy wyznają religję ormiańską (??!), większa połowa ludności są to sektanci i muzułmanie; a zresztą samo wyznanie prawosławne jest tylko sektą obrazoborców.“

Dalej znów pisze pan Frédé, że obowiązki księży w Rosji polegają tylko na wykonawaniu chrzcin, ślubów itd., ua robieniu bogów *(á faire de bogs)*, tj. niezdarnych figurek świętych, które Rosjanie noszą na piersi; czytanie pisma świętego zabronione jest pod karą batoga.

Wreszcie dowiadujemy się odeń, że „dogmat prawosławny wymaga przedewszystkiem od wszystkich swych wyznawców o ile można najczęstszego uczęszczania do łaźni parowej: każdy musi być posłuszny i postępować zgodnie z temi wymaganiami.“

Kobieta — powiada dalej z niewyczerpaną i zadziwiającą pewnością siebie p. Frédé — znajduje się zawsze w najtwardszej zależności od męża; tak włościanka iść musi o trzy kroki za mężem, a prawo w ogóle nie karze za występki przeciwko czci niewieściej.

Gdyby zbrodnię tę karano — zapewnia nasz wesoły podróżnik — trzy czwarte obywateli wiejskich (a miejskich?) i rządców należałoby posłać na Syberję.

W sferze prawa cywilnego p. F. na wszelkie spodziewanie znajduje pewne bardzo ciekawe ograniczenie; oto kobieta, która owdowiała po drugim mężu, może wyjść za mąż tylko za żyda, nawróconego na wiarę prawosławną“!!!

Niemniej ciekawe są wiadomości o odzieniu i pokarmie Rosjan.

Najpierw zaznacza p. F., że „każdy Rosjanin zostawia po sobie pewien specjalny niemiły zapach“. To jeszcze nic — wszyscy w Rosji, z wyjątkiem wojskowych, księży i arystokracji, ubierają się jednakowo, po barbarzyńsku — jak starożytni Scytowie. Ta jest tylko różnica, że chłopi noszą na głowie polską czapkę ułańską...

Wreszcie konkluduje nasz Kolumb, który odkrył całą olbrzymią kopalnię... nonsensów, że Rosjanienie umieją wcale jeść; „wszyscy bez wyjątku przez cały rok żywią się: kwaśną kapustą, szczami, mlekiem, solonemi grzybami, stokfiszem batą z ogórkiem“.

Na tem dość dla poznajomienia czytelników z tym elaboratem, który zawiera w sobie bezwątpienia więcej fałszów, aniżeli stronnic, wierszy, wyrazów i liter — który jednak jest czytanym przez Europę, a może za materjał do wyroków jej posłuży...

Raczej śmiechu to warte, aniżeli pogardy; ale dla z nieczulenia złych skutków, z broszurki tej i jej podobnych wypłynąć mogących, koniecznem jest zwrócenie na nie uwagi poważnej publicystyki europejskiej, która przecież w należyty sposób ocenić i schłostać je potrafi.“

Tak powiada *Bereg* — naturalnie mocno zirytowany.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Obchód rocznicy trzeciego maja. List Kraszewskiego. Wydział medyczny we Lwowie. Sprawa Miarki Karola. Plakaty socialistyczne z d. 3 maja. Kasyno literacko-artystyczne. Nowa komedja Zalewskiego „Pani Podkomorzyna“. Operetkowe usposobienie Lwowa. Boccaccio. Benefis p. Zimajer.

Trzeci Maj! Trzeci Maj! Ileż to razy ten akord minionych czasów radośnem echem odbił się w naszej duszy! Każda wiosna przynosi z sobą wspomnienienie tej sławnej chwili i tego wielkiego ognia, który naród upadający ale szlachetny ogarnął. Każda wiosna przynosi nadzieję iż przyjdzie wreszcie po tylu nędzach czas, że to wielkie święto i nad Niemnem i nad Wartą obchodzić uroczyście będziemy. A byłaby już pora po temu, bo za wiele już doświadczeń losu i za długo trwa tragedja gdzie tak smutna rola nam wyznaczona.

To też niezbyt wesoło obchodzono i u nas

tę wielką rocznicę. Aby przypomnieć jednocześnie inną wzniosłą chwilę z dziejów, udano się na kopiec Unji, przyrzucono doń kilka garstek ziemi, wysłuchano uroczystego nabożeństwa, a wieczorem w teatrze, słuchano dramatu Kraszewskiego i przyglądano się obrazowi przysięgi na konstytucję.

Przyklasnąć tutaj musimy szczęśliwej myśli „Dziennika Polskiego“, który na dzień ten podał całkowity tekst konstytucji. Najlepsza to była droga do oddania czci jej twórcom i więcej warta, niż szumne artykuły.

* * *

Nie bez racji zaprotestowaliśmy w ostatnim zeszycie „Tygodnia“ przeciw fałszywym insynuacjom rzucanym przez wiedeńskie dzienniki o wyjeździe Kraszewskiego do Warszawy. W „Dzienniku Poznańskim“ znajdajemy bowiem następujące jego pismo.

Szanowny Redaktorze!

Sądząc, że szerzącym się po pismach perjodycznych niemieckich niedorzecznym pogłoskom o celu mej podróży do Warszawy fakta kłam zadadzą, nie uważałem dotąd za właściwe przeciwko nim protestować. Przekonywam się wreszcie, iż nieuniknionem jest oświadczenie moje, że przez nikogo wzywanym nie byłem, żadnego memorjału nie pisałem i od wszelkiej roli politycznej jestem daleki. Ani się czuję powołanym do niej, anim dał komukolwiekbądź powód do posądzania mnie o to. Wszystko, co dzienniki podają, jest, nie wiem, czy lekkomyślnem czy złośliwem zmyśleniem, którego skutkiem jest, że tymczasowo podróży dla widzenia się z rodziną moją zaniechać jestem zmuszony, aby wszelkich posądzeń uniknąć.

Z najgłębszym szacunkiem

I. J. Kraszewski.

Drezno, 30. kwietnia 1880.“

* * *

Sprawa wydziału medycznego we Lwowie tylekrotnie ulegająca „zabagnieniu“ ciągle jak feniks z popiołów na nowo się podnosi i w co raz bardziej realnej postaci. Dwukrotnie przez Radę państwa przyjęta rezolucja co do otwarcia owego wydziału, zwróciła nań ogólną uwagę, a teraz czynią się dalsze kroki ku urzeczywistnieniu dzieła. Ze strony niemieckiej spotkał nas zarzut, że nie będziemy mieli sił dostatecznych do obsadzenia wszystkich katedr uniwersytetu. Otóż aby zadać kłam temu, senat akademicki zajął się opracowaniem całkowitego planu organizacji nowego wydziału i opracował go w najdrobniejszych szczegółach. Dołączył do tego spis kandydatów Polaków do katedr, któreby musiały być otworzone i okazało się, że zupełnie naukowo przygotowanych, mających długie szeregi prac ścisłych za sobą, uczonych lekarzy, jest podostatkiem, tak, że do każdej prawie posady jest kilku znakomitych kandydatów.

Tylekrotnie już tę sprawę podnosiliśmy w „Tygodniu“, że o jej ważności nie potrzebujemy ponownie wspominać.

* * *

Przykrą sprawę wywleczono na jaw w Warszawie i jej inicjatorowie nie zasłużyli bynajmniej na podziękowanie ogółu. Wszyscy wiedzą, jak szlachetnie Polacy pod rosyjskim zaborem podali rękę mrącym z głodu Szlązakom. Dziennikarstwo („Nowinom“ należy się cześć za pierwsze podniesienie projektu) wezwało naród do składek i patrzcie! dziś zebrano tyle, że głodu już nie ma. Karol Miarka, ten człowiek, który krocie tysięcy ludzi polskiego pochodzenia, potrafił wyrwać z obojętności i przypomnieć im łączność z całym krajem, miał sprawę w swojem ręku i rozdzielał dary między lud nawiedzony nieszczęściem. Dziś zaczęto go zaczepiać z pewnej strony i robić mu zarzuty co do niedbałości, lekkomyślności, opieszałości, z jaką miał swe dzieło przeprowadzać. Smutna nagroda za pracę tyloletnią i gorżkie doświadczenie! Lecz opinia kraju domaga się wyjaśnień i sądzimy, że ci, którzy mieli odwagę rzucać podejrzenia, będą ją mieli do dania objaśnień, inaczej kraj za oszczerców uważać ich będzie.

* * *

W dniu 3. maja, na rogach ulic pojawiły się u nas po raz pierwszy plakaty socjalistycznej treści. Moda tajemnej roboboty widocznie i do nas przystęp znalazła. Odezwę tę, jako illustrującą stosunki, podajemy w całości. Jest ona bardzo charakterystyczną, bo właśnie daje nam poznać cechy kierunku zaczynającego u nas kiełkować. Cała odezwa jest pisaną w stylu deklamacyjnym, czułostkowym i znać po niej, że autorowie należą do najmniej niebezpiecznych ludzi pod słońcem, do takich, którym zabicie muchy ogromne wyrzuty sumienia by sprowadzało. Oto jej osnowa:

„W dzień 3ci maja 1880, Polska święci dziś rocznicę sławnej konstytucji 3. maja, sławnej dla tego, że w niej to szlachta, porwana prądem wielkiej rewolucji francuskiej, dobrowolnie zrzekła się części przywilejów swoich, poznawszy, że przywileje te są powodem nieszczęść ojczyzny.

Nie długo cieszono się tą zdobyczą. Przyszła Targowica i w proch obróciła wielkie dzieło, łącząc się z najezdnikami dla obrony swej prywaty. I Polska upadła!

Odtąd minęło lat dziewęćdziesiąt. Kilkakrotne próby wyswobodzenia Polski spełzły na niczem, bo lud w nich nie brał udziału. Widziała szlachta, że bez ludu nic nie zrobi i zwracała się do niego z prośbami i obietnicami; lecz lud był głuchym, bo nie chciał być narzędziem nie chciał być środkiem do celu obcego, lud uciśniony, głodny i ciemny, nie miał żadnego interesu w odbudowaniu Polski.

I cóż zrobiono, aby ten lud podnieść? Oto gdy lud wołał: Swiatła! odsyłano go do kościoła; gdy zawołano: chleba! dano mu jałmużnę, a gdy zażądał swobód i praw równych z innymi, zawołano na policję! Klasy uprzywilejowane niczego się nie nauczyły i niczego nie zapomniały.

Głód i nędza coraz śmielej nam w oczy zaglądają, a gdy się znaleźli ludzie, co wskazując na tę nędzę, przypomnieli ludowi odwieczne prawa jego i podnieśli głos, wołając o sprawiedliwość, kamieniem na nich cisnęli ci, co się zwą „patrjotami“, i odsądzili ich od miłości ojczyzny, bo sami kochają tylko przywileje swoje a w ludzie widzą tylko narzędzie do swych celów samolubnych.

Gdy właśnie w Warszawie gruchnęła wieść że na stokach cytadeli wieszają młodzieńców, których cała wina że wyjaśnili prawa ich — prawa człowiecze — w tejże chwili Wielopolscy i Zamojscy ściskają dłonie morderców!

Czas więc wielki żeby lud sam się wziął do pracy i nie oglądając się na nikogo, podjął dzieło wyswobodzenia.

Poznajmy raz, że źródło nieszczęść naszych jedynie leży w wadliwym nastroju społecznym, że dla ludu nie masz szczęścia dopokąd istnieje podział na bogatych i nędzarzy, wyzyskujących i wyzyskiwanych.

Od wyzyskiwaczy daremnie czekamy pomocy. Sami się ratujmy, podając rękę braciom innych narodowości, bo w łączności tkwi siła uciśnionych.

Ocknij się ludu polski i poznaj, w czem twoje zbawienie. Drogę i środki ratunku wskazuje ci jasno

„Program socjalistyczny.“ Socjaliści polscy.

Dziwi nas rzecz jedna. Dla czego tutejsze dzienniki żadnej wzmianki o tej odezwie nie przyniosły. Wyglądało to tak, jakby uważały tę drobną sprawkę, za rzecz strasznie niebezpieczną, a treść odezwy za bardzo przekonywającą!

* * *

Nie można się było spodziewać, żeby we Lwowie znalazło się tyle osób, tak żywo interesujących się kasynem literacko-artystycznem, które dopiero we wrześniu ma być otwartem. Rzecz więc całą można już uważać jako doprowadzoną do skutku. Dla tutejszych artystów i literatów, szczególniej dla kawalerskiej bohemii takie ognisko jest potrzebą, której niezbędność oddawna odczuwano. W tym roku znalazła się widocznie silniejsza inicjatywa i dzieło będzie dokonanem.

Projektów naturalnie na przyszłość niezmiernie wiele, a jeśliby ich dziesiąta część się urzeczywistniła, to w kasynie byłoby tak przyjemnie i wesoło, jak nigdzie we Lwowie. Koncerty, tygodniowe familijne wieczorki, odczyty, amatorskie przedstawienia, stała wystawa dzieł sztuki, wycieczki i t. p. zabawy zapełniłyby cały czas swobodny. *Vederemo!*

* * *

„Pani Podkomorzyna“ Kaźmierza Zalewskiego ukazała się wreszcie, po tylu zapowiedziach, na scenie. Autor tym razem przeniósł się w czasy Stanisława Augusta i usiłował dać obraz obyczajów owej epoki, tak często, a jednak zwykle niezbyt szczęśliwie wyzyskiwanej. Rzecz nie bardzo się temu utalentowanemu autorowi udała. Akcja sama oparta na niezmiernie pospolitej bajce, niedostarczającej nic nowego. Szaraczek kocha się w pannie, która wychodzi za starego karmazyna. Miłość jednak trwa dalej, karmazyn umiera, a szaraczek, po zwycięzeniu kilku zwykłych scenicznych przeszkód, łączy się z piękną wdówką. Nic nad to zwyklejszego. Główny jednak nacisk autor kładł na charakterystykę epoki i w tym celu używał aż do przesady zwrotów wyjętych z pisarzy ośmnastego wieku, naszpikowanych łaciną i napuszystych w obrazowaniu; lecz rzecz ta nie udała się wcale, bo po za frazesami sztucznie zrobionemi nie widać było ludzi. Z całej sztuki wiało jakąś oschłością, brakiem życia, frazesami pu-

stymi, tak że nawet hałaśliwe efekta ostatniego aktu nie zdołały wstrząsnąć publicznością.

Jedną jeszcze uwagę nakoniec zrobić musimy. Według naszego zdania używanie efektów tego rodzaju, które ubliżają innej narodowości, chociażby nieprzyjaznej dla nas, nie uchodzi w rzeczy poważnej i szczególniej dziwnem się wydaje ze strony tak dbającego o estetyczną stronę rzeczy autora, jakim jest Zalewski. Otóż w Pani Podkomorzynie znajdujemy ciągłe wykrzykniki: Podły Niemiec! Kanalje Niemcy! i. t. p. które są w wysokim stopniu grubiańskie i których wartość łatwobyśmy od razu ocenili, gdybyśmy na niemieckiej scenie słyszeli podobne obelgi na Polaków rzucane.

Artyści grający w tej komedji starali się grą podtrzymać upadające dzieło, lecz naprόżno!..

* * *

Już to najwięcej smakowi artystycznemu naszego miasta odpowiada operetka, która ciągłe ma powodzenie. Pod tym względem Lwów może się porównać z Paryżem, który także w tym kierunku celuje. Do takiej adoracji zakasanej muzy, trzeba koniecznie pewnego stopnia zblazowania, przesytu, a tego, zdaje się, mamy podostatkiem. Do jakich rezultatów ten kierunek doprowadzi, nie wiemy, cieszy jednak nas, twierdzimy to zupełnie na serjo, że tak teraz często operetki wystawiają w naszym teatrze, pamiętając o tem, że po tak silnem impresionowaniu publiczności, nastąpić musi oddziaływanie w przeciwnym kierunku, a im prędzej to się stanie, tem lepiej. Teraz operetka zachwyca, potem będzie bawiła, potem zacznie się ziewać i przebudzą się szlachetniejsze popędy. Kto codzień jada pieczeń cielęcą, temu ona nareszcie tak zbrzydnie, że zatęskni za wołową. Że dyrekcja zamiast poważnych rzeczy daje lekkie utwory, tego jej wcale za złe nie mamy, bo nie ma wcale obowiązku poświęcania się dla publiczności i dopłacania z własnej kieszeni do kasy teatralnej w dniach, kiedy dają sztuki serjo.

Jeżeli ci, w których ręku leżą losy kraju, chcą aby teatr był szkołą dobrego smaku, to winni dawać na to pieniądze i to znaczne, pamiętając o tem, że teatr olbrzymi ma wpływ na społeczeństwo i że jest miejscem, z którego ideje społeczne, smak, zamiłowanie piękna, bezpośrednio w umysły się wszczepiają.

* * *

„Boccaccio“ ściąga do teatru tłumy. Zręczne libretto i wesoła muzyczka przypadły publiczności do smaku. Już to przyznać należy, że artyści wykształcili się u nas bardzo w kierunku operetkowym i grają z werwą i życiem.

Dziś wieczorem po raz siedemnasty dają „Dzwony kornewilskie“ z nową obsadą w głównej roli. Pani Zimajer ma śpiewać na miejsce pani Bocskaj rolę Serpoletki. Naturalnie że teatr będzie przepełniony, tem bardziej, że to benefis tej artystki, a rola jakby dla niej stworzona.

Kiedy mowa o teatrze, to jeszcze wspomnieć nam należy, że pani Modrzejewska zbiera laury w Londynie i nazwisko jej jest w kołach miłujących sztukę na dziennym porządku. Po skończeniu występów, udaje się do Petersburga, gdzie ma występować z własną polską trupą.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Pism Henryka Sienkiewicza znajduje się obecnie pod prasą tom czwarty.

*** Firma p. Jana Noskowskiego przystąpiła do zbiorowego wydania dzieł scennicznych Zygmunta Sarneckiego.

*** Kazimierz Kaszewski pracuje obecnie nad przekładem tragedji Hebbla „Judyth“.

Dzieło to wielkich zalet poetycznych wznowione zostało obecnie na scenie kolońskiej z ogromnem powodzeniem.

Piękność i szlachetny nastrój tego utworu odtworzone zostaną niewątpliwie w przekładzie polskim pod piórem tak wytrawnego estetyka, jak p. Kaszewski.

*** Firmy: Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Zawadzkiego w Wilnie gotują się do wspólnego wydania „Pamiętników kwestarza“ Chodźki z illustracjami Andrjollego.

Kartonów fotograficznych będzie dwanaście.

Publikacja ta stanie na wyżynie „Starej Baśni“.

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa ukazała się dwutomowa publikacja p. t. „Szkoła maszynistów“, podręcznik dla urzędników dróg żelaznych i uczniów szkół technicznych.

Rzecz tę opracowaną przez p. Ludwika Wojnę, na podstawie najlepszych podręczników niemieckich, należy jak najgoręcej polecić interesowanym kołom.

*** W tych dniach wyszła z pod prasy „Hygiena popularna zwierząt domowych — utrzymanie i pielęgnowanie inwentarza, oraz podawanie doraźnej pomocy weterynaryjnej“.

Autorem tej pożytecznej dla ziemian i hodowców inwentarza pracy jest p. Romuald Sobolewski.

*** „Ekonomista“ zaczął pomieszczać w swych szpaltach pracę bardzo ciekawą, a mianowicie historję dróg żelaznych w Królestwie Polskiem istniejących i historję projektów różnych kolei.

Rzecz jest opracowana podług badań pana Jana Blocha.

*** W Paryżu w tych dniach ukazała się na widok publiczny rzecz Wiktora Hugo p. t. „Religion, Religions“.

*** W Paryżu u Plona wyszła broszura „The political comedy of Europe“, w której Bismark mocno jest zaatakowany: autorem pamfletu były poseł Wright.

*** Nr. 18 „Gazety Rolniczej zawiera: 1. Wiele hałasu o nic, przez Aleksandra Trylskiego. 2. Jaką wartość mają pojawiające się u nas w handlu nasiona traw pastewnych, przez dr. A. Sempołowskiego. 3. Z dziedziny hygieny wiejskiej, przez dr. B. Lutostańskiego 4. Kilka uwag o kuciu koni przez J. H. 5. Listy z Lubelskiego. 6. Listy z Seneńskiego. 7. Wiadomości bieżące 8. Poradnik gospodarski. 9. Bibljografja i krytyka. 10. Kurjer rolniczy. 11. Odcinek zawiera: Francja pod względem rolniczym, przez H. Ciem.

Nauka.

*** W tych dniach wyszła z druku rzecz prof. Józefa Kasznicy „O chorobach społecznych“, umieszczona poprzednio w „Niwie“.

*** W Warszawie ma wychodzić osobne pismo specjalne poświęcone archeologji i bibljografji.

Ułatwi to o wiele stosunki pod tym względem bardzo dotąd utrudnione dla braku wiadomości o zbiorach, kolekcjach i bibljotekach, a nawet o istnieniu białych kruków i różnych osobliwości.

Nowe pismo nosić ma tytuł „Wiadomości archeologiczne i bibljograficzne.“

*** Wyszedł w tych dniach przekład pracy prof. Ottona Hessego „Wyznaczniki“, opracowane elementarnie.

Przekładu dopełnił p. Antoni Zdziarski.

*** W poważnem petersburskiem wydawnictwie „Myśl“ drukuje się obecnie przekład rozprawy dr. Juliana Ochorowicza: „Siła jako wynik ruchu.“

*** W Bernie wyszły z druku pierwsze zeszyty wielkiego wydawnictwa leksykograficznego p. t.: „Grosser Wörterbuch der modernen europäischen Sprachen“.

Wydawcą jest Antoni Albert Peschek.

Słownik obejmuje dwadzieścia języków następującym porządku: niemiecki, francuski, angielski, rosyjski, węgierski, czeski, polski, serbski, chorwacki, słowacki, słoweński (carniole), wołoski, włoski, hiszpański, portugalski, niderlandzki, szwedzki, duński, nowo-grecki, nakoniec łaciński.

Całe wydawnictwo obejmie sześćdziesiąt zeszytów drobnego druku in quarto.

*** W Berlinie Niemieckie towarzystwo antropologiczne odbędzie swe jeneralne zgromadzenie w sierpniu; w tymże czasie urządzona zostanie wystawa przedmiotów antropologicznych i przedhistorycznych.

*** W Turynie, w sierpniu r. b. odbędzie się trzeci międzynarodowy kongres hygienistów.

*** W Suez, konsul, grecki p. Micaki, wysłany w misji specjalnej do Abisinji, nabył tam zbiór ewangelij pisanych w języku etjopskim na pergaminie i ozdobionych kolorowemi rycinami. Ryciny przedstawiają tak Chrystusa, jako też świętych i święte, w postaci murzynów. Dzieło to złożył p. Micaki w oarze bibljotece izby deputowanych w Atenach.

Sztuki piękne.

*** „Bitwa pod Grunwaldem“. Z Paryza donoszą co następuje:

„Za tydzień otwartą zostanie zwykła coroczna wystawa sztuk pięknych, na której zapowiadają tym razem wiele cennych iście rzeczy.

„Przedmiotem największego zajęcia i niecierpliwości, nietylko dla nas ale dla wszystkich przyszłych gości salonu jest „Bitwa pod Grunwaldem“, arcydzieło Matejki, które prawie wszystkie stolice Europy oglądały pierwej niż Paryż, chociaż przed dwoma laty zachowane było dlań do ostatniej chwili miejsce na wielkiej wystawie.

Sądzą powszechnie, iż płótno Matejki stanowić będzie „great attraction salonu“.

*** W Paryżu w ciągu roku bieżącego wystawioną zostanie na scenie wielkiej opery, nowa opera Thomasa p. t. „Françoise de Rimini“; główną rolę śpiewać będzie Nilsson.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Kołomyi zawiązał się komitet, którego celem jest wzniesienie pomnika Franciszkowi Karpińskiemu w stuletnią rocznicę wydania pierwszego zbioru jego poezji. Namiestnictwo pozwoliło na zbieranie składek w całym kraju na ten cel w przeciągu trzech miesięcy. Pomnik wykonany być ma z kamienia pińczowskiego i przedstawi postać Fr. Karpińskiego w 7-stopowej wielkości. Podstawę tworzyć będzie postument z kamienia szarego, czworoboczny, 11 stóp wysoki. Na jednej jego stronie umieszczone zostanie imię i nazwisko poety, a na drugiej pierwsza zwrotka pieśni: „Kiedy ranne wstają zorze“. Wykonania pomnika podjął się rzeźbiarz Gadomski. Odsłonięcie nastąpi we wrześniu r. b., podczas wystawy etnograficznej w Kołomyi.

*** W Peszcie anti-semicka liga organizuje się na gwałt i posiada już obecnie bardzo wielką liczbę członków. Na prowincji utworzyło się dotąd 15 do 18 filij w większych miastach. Liga zamierza rozpocząć w jesieni wydawnictwo swego własnego organu.

*** Towarzystwo petersburgskie przyrodników ma zamiar urządzić ważną wyprawę dla zbadania rybołowstwa na wybrzeżach Murmańskich nad oceanem Lodowatym, na zachód od morza Białego, oraz fauny zachodnich części tego ostatniego. Kilku profesorów przyjmuje udział w wyprawie, na czele której staną ma prof. Wagner.

*** W norymbergskiem muzeum czynione są przygotowania do wystawy historycznej drukarstwa

od Gutenberga do naszych czasów; wystawione zostaną dawne czcionki i przyrządy drukarskie.

*** Według Newjorkskich dzienników, w ciągu wielkiego tygodnia przybyło do portu nowojorkskiego 8000 wychodźców z Europy. W kwietniu spodziewają się przybycia 50,000 emigrantów. Nic podobnego nie zdarzyło się od czasu odkrycia Ameryki.

*** Według danych urzędowych, z Niemiec wyemigrowało do krajów zamorskich w 1877 roku 21,964 osób, w 1878 24,217 osób, w 1879 33,327 osób. Wychodźcy wsiadali przeważnie na okręta w Bremen i udawali się najwięcej do Stanów Zjednoczonych, a potem do stanów południowo-amerykańskich i Brazylji. Według zajęcia, większość wychodźców była przemysłowcami, kupcami, rolnikami i robotnikami różnych gałęzi.

*** W Nowym Yorku, w San Madisona, odbywał się bal w połączeniu z bazarem dobroczynnym. Podczas tańca zapaliły się emblemata i girlandy, zawieszone na ścianach. Od tych zajął się sufit. Poczęto się tłumnie cisnąć do ciasnych drzwi. W tym czasie spadły palące się kawałki drzewa, od których zapłonęły lekkie suknie tancerek. Czternaście osób poniosło śmierć, a 63 ciężko jest poranionych. Oprócz tego wielu osób nie można się było doszukać. Szkody wynikłe z pożaru oceniają na miljon dolarów.

*** Jenerał Annenkow otrzymał zezwolenie na budowę drogi żelaznej od morza Kaspijskiego do jeziora Aral.

*** W tych dniach otwartą została linja drogi żelaznej Peszt-Kronsztadt-Bukareszt.

*** *Up and down — w górę i na dół.* Do charakterystyki amerykańskiego przysłowia „up and down“ posłużyć może za przykład los miasta Pithole w Pensylwanii w okolicy obfitującej w olej. W roku 1865, jak pisze do „Kreuz. Ztg.“, okolica ta była jeszcze pustynią. Poszukiwano oleju i znaleziono go w niewyczerpanej ilości. Nastąpiła zmiana dekoracji. Wszyscy spieszyli się dla zakupienia gruntów w bliskości olejowego źródła. W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin firma Toma Holdera posiadała ośm szeregów namiotów, a w każdym szeregu zamieszkała ludność, mogąca tworzyć znaczne miasto.

W ośmiu dniach wykopano 30 studni i płacono za nie bajeczne sumy. Spekulanci, inżenjerowie, robotnicy płacili od dwóch do trzech dolarów za obiad, pięć dolarów za nocleg; para butów kosztowała 35 dolarów, a kieliszek wódki dolara. W jednem mgnieniu oka założono miasto. Wspaniałe domy, wielkie hotele, teatra, kościoły wzrastały jakby z ziemi. Hotel Duncan kosztował 30,000 dol., giełda 60,000 dol. W rok potem, 1866, posiadało miasto 15,000 mieszkańców, i Pithole było trzecią główną stacją pocztową w Stanie. Pocztmistrz miał 8 pomocników do zajęcia. Ale już w roku 1867 zaczął się jego upadek, gdyż źródła oleju się wyczerpały. Dom giełdowy, który kosztował 60,000 dolarów, sprzedany został za 60 dol., Hotel Duncan przeniesiony został do Oil City. Teatry zostały zamknięte. Burmistrz i rada municypalna odroczyły się do czasu nieoznaczonego, obie gazety przeniosły się do Oil City i w przeciągu trzech lat miasto było opuszczone. Obecnie mieszkają jeszcze tylko trzy rodziny w Pitholе. Gdzie dawniej ciągnęły się ulice, znajdują się teraz pola zasadzone kartoflami, i często bardzo parobek wyoruje kawał rury gazowej. Na miejscu gdzie dawniej stał teatr, który niejednego wieczoru miał 2000 dol. dochodów, znajduje się dziś pole zasiane kukurydzą. W każdym razie miasto to leżące dziś w ruinach prędzej powstało i prędzej runęło, niż niejedno leżące dziś w ruinach miasto starożytne.

ROZMAITOŚCI.

Odkrycie pierwszej bryłki złota w Kalifornji.

Starsi wiekiem czytelnicy przypomną zapewne sobie, jak potężny ruch wywołała w swoim czasie wiadomość o wykryciu złota w Kalifornji, na dalekim zachodzie, na wybrzeżach oceanu Spokojnego. Potwierdzenie tej wiadomości stało się hasłem do olbrzymiej wędrówki narodów ze wszech stron świata.

Jeżeli w pierwszych czasach, żądza złota — *sacra auri fames* — była główną pobudką napędzającą większą część migracji do Kalifornji, to jednak w krótkim stosunkowo czasie, kraj ten urządził się prawidłowo, a z bogatej pod każdym względem ziemi, zaczęto dobywać, w niesłychanej obfitości, zarówno płody rolnicze jak i górnicze, tak, że obecnie Kalifornia może być zaliczoną do najszczodrzej obdarzonych przez matkę przyrodę krajów Ameryki północnej:

Wiele pisano o odkryciu złota w Kalifornji; ja sam czytałem kilka, a może i więcej opisów, ale tak szczegółowego, a przytem prawdziwego, jak opowiadanie pani *Jenny Wimmer,* którą odszukał i wybadał reporter gazety *San Francisko Evening Bulletin,* jeszczem nie spotkał. Oto są własne słowa wyżej wspomnianej damy, posiadającej dotąd pierwszy kawałek złota, jaki znaleziony został w Kalifornji w roku 1847, czyli rychło po przybyciu europejskiego wychodźtwa, a po połączeniu Kalifornji do Stanów-Zjednoczonych:

„Stanęliśmy, powiada ledi Wimmer, w listopadzie roku 1846 w Kalifornji, w liczbie czternastu rodzin, z zamiarem udania się dalej na preryе (łąki) nad Missouri. Przybywszy do fortu Sutter (*), dowiedzieliśmy się, że potrzeba nam więcej ludzi. Zanim jeszcze woły z naszego wozu wyprzężono, już mąż mój zaciągnął się do wojska, i zostawił mnie z siedmiorgiem dzieci w forcie, pod opieką komisarjackiego urzędnika Courtain'a. Przez całe dwa miesiące otrzymywaliśmy racje żywności jak prości żołnierze. Kapitan Sutter kazał urządzić dla nas pokój w forcie. Skoro tylko mąż mój powrócił z *Santa-Clara,* gdzie zimował, udał się zaraz z trzema ludźmi, przez góry, aż do jeziora *Donner,* w zamiarze przeniesienia tam całego mienia rodziny, która wiele wycierpiała podczas surowej zimy. W czerwcu roku 1847, wszystkie nasze rzeczy zostały spakowane, dla przewiezienia ich do Battle-Creek, nad górnem Sacramento, gdzie miał być urządzony tartak. Następnie wszakże zdecydowano się na kolonię. Kapitan Sutter i ob. Marschall równy brali udział w przedsiębierstwie i stanęli a czele wyprawy. Po siedmiu dniach pochodu, stanęliśmy o zachodzie słońca w miejscu już tylko o milę (ang.) od celu naszej podróży. Następnego rana, mąż mój poszedł naprzód i obrał miejsce stosowne na zbudowanie tartaka; ja zaś wybrałam miejsce na wystawienie domu mieszkalnego.

„Mąż mój dozorował Indjan i zajmował się wszystkiem, co dotyczyło prac rozpoczętych, a ja jeść gotowałam. Trafiliśmy na dobry zrąb. Przez całe pół roku pracowano nad tartakiem: budowano wały ochronne, tamy i t. p. Jednego rana ob. Marschall, powróciwszy do fortu z wycieczki, wyszedł z moim mężem, aby obejrzeć jak postąpiły roboty? Woda zupełnie była spuszczona. Gdy rozmawiając ciągle szli dalej i oglądali roboty, spostrzegli tuż przed sobą, na niskiej, nierównej, i zabłoconej skale, coś błyszczącego jak złoto. Obadwaj jednocześnie to ujrzeli, lecz Marschall schylił się pierwszy, aby podnieść błyszczącą grudkę: przyjrzawszy się jednak zbliska, zwątpił aby to mogło być złoto. Oddał grudkę naszemu synkowi Marcinowi, który był z nimi, aby ją do mnie zaniósł. Chłopiec przybiegł zadyszany wołając:

— Matko! Matko! Jest tu coś, co ojciec i pan Marschall znaleźli; powiedzieli żebyś to włożyła w ług, dla zobaczenia czy nie zczernieje.

„Ja powiedziałam odrazu: to jest złoto! Włożę je w kocioł z ługiem, i jeżeli to jest istotnie złoto, wyjdzie zeń złotem.

„Właśnie tego dnia robiłam mydło i wyjęłam je dla ustudzenia. Bryłka kruszcu została w kotle do następnego rana. Przy śniadaniu jeden z robotników podniósł głowę od talerza i zapytał:

— Słyszałem, że podobno złoto tu znalezionem zostało, czy to prawda?

— Zapytaj oto tej ledi — odpowiedział Marschall, wskazując na mnie.

„Ja zaś powiedziałam, że znaleziona grudka leży w kotle z ługiem. Na spodzie kotła odnaleźliśmy w potażu, który obiema rękami dobywałam, grudkę kruszcu czystą i błyszczącą.

„Marschall jednak utrzymywał ciągle, że to nie jest złoto. Nie wiem czy rzeczywiście jego przekonanie było takie, czy się tylko obawiał, żeby na tę wiadomość, ludzie jego nie rozbiegli się dla poszukiwania złota. Mąż mój zrobił uwagę, że grudka ma wszelki pozór złota i wagę jego, że przeto możnaby z tego robić pieniądze.

„Robotnicy przyrzekli że nas nie opuszczą dopóki tartak ukończonym nie zostanie.

„Mąż mój jednak, niezupełnie pewny czy to złoto, nalegał żeby ob. Marschall pojechał do fortu i poddał znalezioną próbkę chemicznemu rozbiorowi. Marschall pojechał, a Jerzy Mackinstry, metalurg, uznał naszą grudkę za czyste prawdziwe złoto.

„Kapitan Sutter przybył natychmiast razem z Marschall'em; zwołał okolicznych Indjan i porozumiał się z nimi co do ścisłego oznaczenia granic ziemi, którą za swoją własność uważali, żądając także dla siebie i Marschall'a, na mocy prawa odkrycia, trzecią część wszystkiego złota, jakie w przyszłości znalezionem być może. W zamian za to ustępstwo, obiecano dać Indjanom pewną ilość chustek, zwierciadełek, koszul, paciorek i innych błyskotek. Układ obustronnie został przyjęty.

„Jednego dnia wreszcie ob. Marschall przygotował swoje tłumoki do odjazdu. Zgromadził był on sporo proszku złotego, na zasadzie układu zawartego z Indjanami Gdy rzeczy swoje raz jeszcze przeglądał, rzekł do mnie w obecności Eliasza Peckwood'a: — Jenny, ofiaruję ci tę bryłkę złota. Miałem zamiar kazać z niej zrobić pierścionek dla mojej matki, lecz wolę dać ją tobie.

„Wzięłam; — i od tego czasu do dziś dnia zachowałam.“

Co do dnia zrobionego odkrycia, ledi Wimmer oświadcza, że dokładnie oznaczyć go nie może, lecz w każdym razie było to podczas świąt Bożego Narodzenia w końcu grudnia roku 1847; gdyż kapitan Sutter przysłał był właśnie kilka tuzinów butelek wódki, ludzie więc mieli wesołe święta i wszystką wódkę wypili.

Co do samej bryłki złota, reporter *Evening Bulletin,* któremu pani Wimmer wszystko to opowiadała, dodaje: „Wartość jej wynosi 4 do 5 dollarów. Podobną jest, jeżeli tak się wyrazić można, do kawałka ciasta, świeżo z ust wyjętego, z różnicą koloru. Bryłka ta jest płaskowata i są na niej znaki jak gdyby od zębów w cieście. Po brzegach są nierówności, które — puściwszy trochę wodze fantazji — podobne są do ludzkiej głowy w hełmie. Kto ją raz widział, z łatwością pozna ją nawet po długim przeciągu czasu.“

Juljan Horain.

(*) Fort Sutter leżał nad rzeką Sacramento, a zbudowany był przez kapitana Suttera, rodem Szwajcara, który podczas wojny z Meksykiem, zostając w służbie Stanów-Zjednoczonych, przedarł się był do Kalifornii z nielicznym lecz śmiałym oddziałem. Pozostał tu, i od tego czasu starał się uprawiać kraj przyległy: zaprowadził chów bydła, pobudował domy, młyny i t. d.

Treść Nr. 19.

	str.
Dwie drogi	273
Zadora, historja z końca XVIII. wieku, przez J. I. Kraszewskiego. (c. d.) . . .	290
Ottona Hausnera Broszura „Deutschthum und Deutsches Reich“ . . .	292
O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce przez Kazimierza Stadnickiego (c. d.) .	294
Rodzina Mirabeau	296
Obrazki piórem	297
Niekonsekwencja p. Drommel, Nowella przez Wiktora Cherbuliez . . .	297
Kronika naukowa, przez B. Abakanowicza .	300
Curiosum	301
Kronika tygodniowa	284
Wiadomości z kraju i ze świata . .	287
Rozmaitości	304

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.